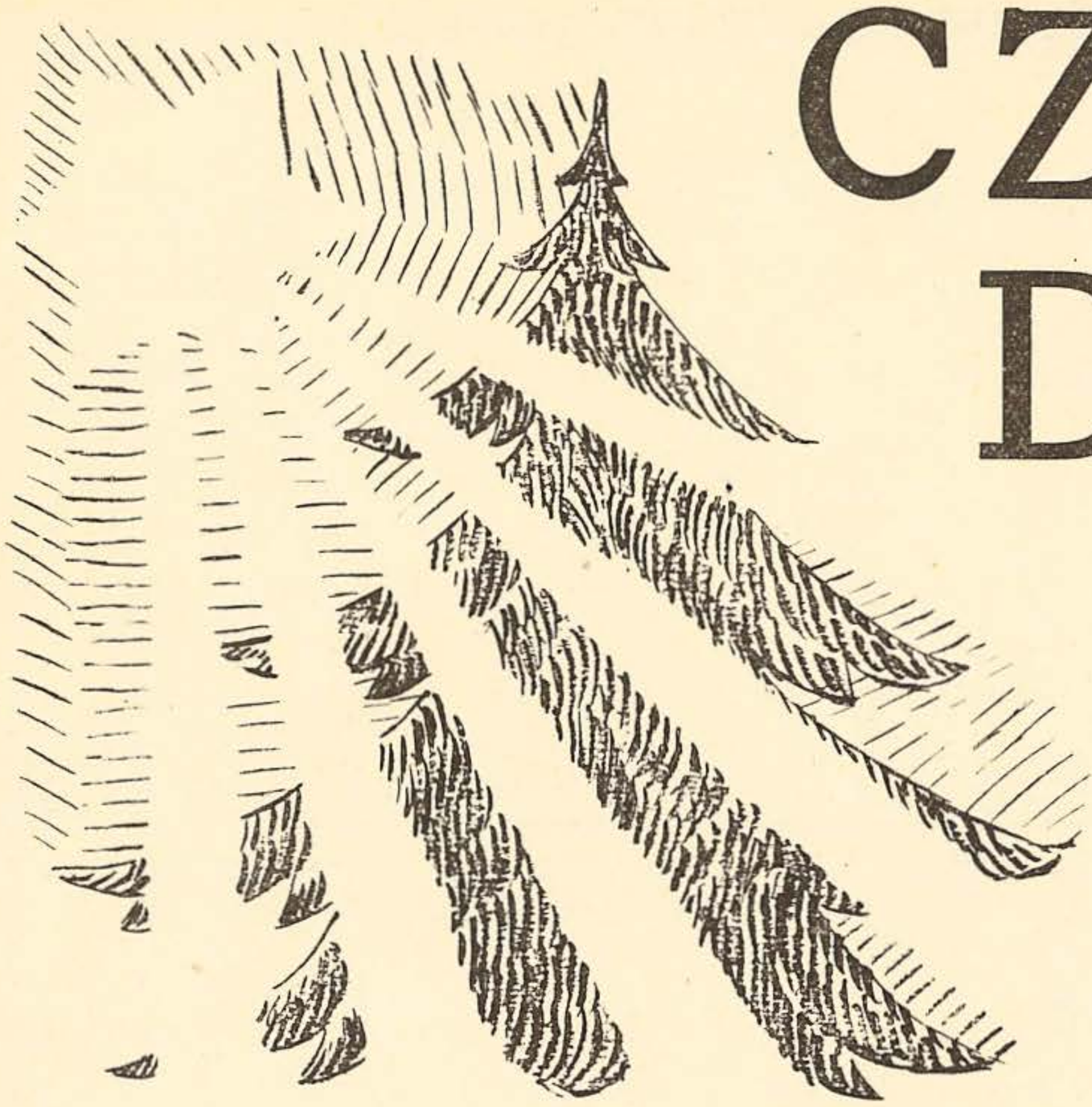

CZUJ DUCH

MIESIĘCZNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ

ROK IV. 1925. CENA 60 GR

:: POZNAŃ ::

GRUDZIEŃ NR. 12. (43)

PRZYJACIELE!

Nie zdążymy, niestety, dotrzeć do Was przed czwartkowym wieczorem, kiedyśmy chcieli, na tysiąc rozpadłszy się cząstek, tysiąc jednakich myśli o Was i dla Was — i w postaci skromnego numeru „Czuj Ducha" przezwyciężywszy odległość — z każdym z Was spędzić tych kilka chwil krótkich, jedynych, owianych zapachem choinki i rojem wspomnień, rozjaśnionych cichym świec i jeszcze cichszym serc Waszych ogniem.

Nie zdążymy — lecz że się o niewiele spóźnimy — numer rozpoczynamy świątecznemi życzeniami — nic w nich nie zmieniając.

Słuchajcie!

Ognia, co w sercu płonie — strzeżcie, bo to skarb najbezcenniejszy — jedyny, jaki zmarnieć nie może!

Podsycać go nigdy nie przestawajcie!

Czuwajcie nad nim każdej życia chwili: niech z Was Miłości bliźniego jasnym bucha płomieniem! — niech świeci — jak najdalej — innym rozjaśniając drogę, niech Miłosierdziem rozgrzewa zziębniętych i skostniałych — i w tem bowiem jest nasze harcerskie powołanie!

W rocznicę Bożego Narodzenia i na progu nowego roku przypominamy Wam o nim; zarazem, pamiętając, że nic tak nie krzepi, jak radość, ślemy Wam serdeczne życzenie

RADOSNYCH ŚWIĄT!

NWH archiwum

Pamięci Władysława Reymonta.

Niby szalona burza przeszła ponad naszą Ojczyzną.

Dwa największe i najsilniejsze dęby runęły jeden po drugim w naszych oczach.

Dwa wielkie, choć proste i szczere, polskie serca bić przestały nazawsze...

Ledwo odprowadziliśmy na miejsce wiecznego spoczynku drogie nam prochy Stefana Żeromskiego, jeszcze nie ukoiliśmy swych serc po tej stracie — a oto nowa mogiła przed nami.

Zmarł, sterany życiem, Władysław Stanisław Reymont — wielki twórca i człowiek, piewca naszej Ziemi.

* * *

Uwieńczony ostatnio nagrodą Nobla,*) a dawno już oceniony nawet przez wrogie nam żywioły — różnemi drogami szedł Reymont do swej sławy. Wiemy, że drogi te były ciężkie i znojne, bo pełne niedoli, walki o nędzny kawałek chleba, ciężkich mocowań się z życiem, lecz im to w przeważnej części zawdzięczać należy odrębne stanowisko, które Reymont zajął w naszej literaturze.

Włócząc się po barłogach szerokiego Mazowsza, stale zmieniając miejsce zamieszkania, patrzał on z bliska na Ziemię, wsłuchał się w jej odwieczny rytm, wchłaniał w siebie tajemnicę chłopskiej doli i niedoli. I chociaż największe dzieło mistrza — „Chłopi" — powstało później, w wędrówkach swych po świecie nic nie uronił Reymont z bezpośredniego przeżycia.

Znał On dobrze chłopa polskiego — przejrzał jego duszę na wylot, dotarł do tajników chłopskiego serca — tam, gdzie się tworzą legendy, klechdy i mity, gdzie rodzą się pospołu zło i dobro.

Reymont pierwszy z pisarzy polskich żywioł ten w prawdziwem ukazał świetle — pierwszy go jako wielką potęgę twórczą, jako moc piękną i niewzruszoną ostoję ducha polskiego odczuł i nam odczuć pozwolił.

Nieśmiertelna wartość Reymontowej twórczości wspiera się jeszcze na innych, trwalszych bodaj fundamentach. W najcięższych chwilach, w dziełach pisanych niby krwią, z rannego wziętą serca, — w opowiadaniach „Z ziemi Chełmskiej" — brzmi przecież przewodni motyw niewzruszonej wiary w lepszą, szczęśliwą przyszłość, w zwycięstwo dobra na tej Ziemi, którą serce jego tak bezmiernie ukochało.

Cóż dziwnego, iż gdy w Odrodzonej Ojczyźnie, którą wymarzył w najpiękniejszych barwach potężnej wyobraźni, rzeczywistość marzeniom kłam zadała okrutny, — to serce najszlachetniejsze zawodu przeżyć nie mogło.

Odszedł od nas, rozgrzeszając nas w imię Ziemi, której był niedoścignionym piewcą, odszedł zapatrzony w krzyż, który był dla niego symbolem zarówno najwznioślejszego poświęcenia jak i podniebnych dążeń.

Prochy jego ponieśli do mogiły chłopi polscy, których światu ukazał i których rozumieć i kochać nas nauczył.

Niechże mu ta Ziemia Polska nie grobem jeno będzie, ale niech się dlań dobrotliwą stanie piastunką, na łonie której spocznie syn jej najwierniejszy, aby żyć pośród nas wiecznie.

*) Najwyższa odznaka o znaczeniu międzynarodowem, jaką literat dostać może.

archiwum

Stefan Łoś, podharcmistrz.

Kolenda harcerska.

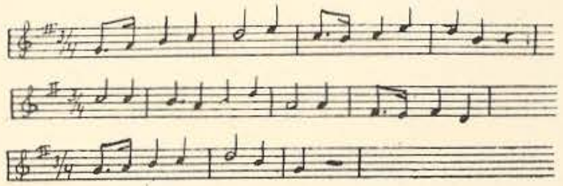

Gdy się Pan narodził
w onem Betleemie
obiegła wiadomość
o tem wszystkie ziemie.
Wnet młody czy stary
Panu znosi dary,
hej, kolenda, kolenda.

Z dalekiej krainy
jadą już trzy króle,
jeden niesie złoto
w zamczystej szkatule
za nim drugi, trzeci
też z darami leci
hej, kolenda, kolenda.

Zwiedzieli się o tem
i polscy harcerze,
każdy podarunek
dla Dzieciątka bierze;
a Główna Kwatera
już podarki zbiera
hej, kolenda, kolenda.

Lecz harcerska wiara
martwi się i biada
bowiem godnych Pana
darów nie posiada.
— Złota wszak nie mamy
i nie uskładamy
hej, kolenda, kolenda.

Ale się możemy
nie kłopotać o to —
dary złożym droższe
niż królewskie złoto:
serca swe w ofierze
zaniosą harcerze,
hej, kolenda, kolenda.

Selma Lagerlöf.

Wizja cesarza.

Legenda wschodnia.

Działo się to w czasie, kiedy August był cesarzem w Rzymie, a Herod królem w Jerozolimie.

Wtedy to zdarzyło się, że bardzo ważna, święta noc zeszła na ziemię, najciemniejsza noc, jaką kiedy widziano; można było sądzić, że świat zatoczył się w piwnicę. Niemożliwem było odróżnić wody od lądu i na najbardziej swojskich drogach łatwo było zabłądzić. A to z tej prostej przyczyny, że światła z nieba zabrakło. Wszystkie gwiazdy zostały w domu, a księżyc miły odwróconą miał twarz.

Równie głębokiem jak ciemność, było milczenie i cisza. Rzeki zatrzymały się w biegu, powietrze nie drgnęło, a nawet liść osiki zaniechał drżenia. Ktoby był poszedł wzdłuż wybrzeża, byłby doświadczył, że fale nie biły o brzeg, a ktoby był poszedł przez puszczę, temuby piasek pod stopami nie zgrzytał. Wszystko skamieniało w bezruchu, aby ciszy nocy świętej nie przerywać. Trawa nie śmiała rosnąć, ani rosa padać, a kwiaty nie miały odwagi wyziewać swych woni.

Nocy tej zwierzęta drapieżne zaniechały łowów, węże nie kąsały, psy nie szczekały. A co jeszcze było wspanialszem, to, że żadna rzecz martwa nie kaziła świętości tej nocy służąc do jakiego złego uczynku. Wytrych nie byłby otworzył żadnego zamku, a nóż nie był zdolny do przelania krwi.

Tej właśnie nocy wyszła gromadka ludzi z cesarskich komnat na Palatyn*) i skierowała się przez Forum na Kapitol. Dnia tego senatorowie przedłożyli cesarzowi pytanie, czy miałby co przeciw temu, ażeby mu na świętem wzgórzu Rzymu wzniesiono świątynię. Ale August nie dał od razu swego przyzwolenia. Nie wiedział, czyby się to bogom podobało, ażeby posiadał świątynię tuż obok ich świątyni i odpowiedział, że pragnie pierwej złożyć ofiarę nocną swemu bóstwu opiekuńczemu, aby wolę bogów w tej mierze wybadać. On to wiedziony przez kilku poufnych, dążył właśnie składać tę ofiarę.

Augusta niesiono w lektyce,**) gdyż był stary i trudno mu było wnijść na wysokie schody Kapitolu. Sam trzymał klatkę z gołębiami, które chciał ofiarować.

Nikt z kapłanów, żołnierzy, ani panów z rady nie towarzyszył mu, tylko najbliżsi jego przyjaciele. Słudzy z pochodniami szli naprzód, aby torować drogę przez ciemności nocy, a za nim szli niewolnicy, niosący trójnóg ołtarzowy, węgle, noże, święty ogień i wszystko inne, co do ofiary było potrzebne.

*) Święte wzgórze w okolicach starożytnego Rzymu.
**) Nosze, któremi posługiwała się w mieście arystokracja rzymska.

Po drodze rozmawiał cesarz wesoło z swoimi poufnymi, dlatego to nikt nie zauważył ciszy niewymownej i milczenia tej nocy. Dopiero kiedy wyszli szczyt Kapitolu, na pusty plac, wybrany do budowy nowej świątyni, spostrzegli, że coś niezwykłego się zapowiada.

Nie mogła to być noc jak inne, gdyż w górze, na brzegu skał, ujrzeli najprzedziwniejsze jasne zjawisko.

Zrazu sądzili, że to świeci tak stary, spróchniały pień oliwny, dalej myśleli, że prastary posąg ze świątyni Jowisza wyszedł na skały. Wreszcie uznali, że nie może to być nikt inny, jeno stara Sybilla.***)

Czegoś tak starego, opalonego wichrem a olbrzymiego nie widzieli nigdy. Zgrzybiała ta niewiasta straszną była, wszyscy byliby chętnie do domu uciekli.

— Ona to jest — szeptali do siebie — która tyle ma lat, ile jest ziarnek piasku na jej ojczystem wybrzeżu. Dlaczego właśnie tej nocy wyszła ze swej nory? Co wróży cesarzowi i państwu, ona, która swe proroctwa pisze na liściach drzew, pewna, że wiatr przeniesie jej słowa każdemu, do kogo są wysłane.

Tak byli przerażeni, że gdyby się Sybilla była poruszyła, popadaliby byli na kolana i czołem dotknęli ziemi. Ale siedziała bez ruchu, jak nieżywa. Skulona na krawędzi skały, ocieniając oczy ręką, wpatrywała się czyhająco w ciemną dal. Siedziała tam, jak gdyby po to wyszła na górę, aby lepiej widzieć co się działo w wielkiem oddaleniu. Więc mogła widzieć coś w taką noc?!

W tej chwili zauważył cesarz i jego cały poczet, jak głęboką była ciemność. Nikt z nich na szerokość dłoni nie widział przed sobą. A jaka cisza, jakie milczenie! Nie mogli nawet dosłyszeć stłumionego Tybru. Powietrze było duszne, dławiło ich, zimny pot oblewał im czoła, a ręce mieli podrętwiałe i bezsilne. Każdy czuł, że coś strasznego nadchodzi.

Ale nikt nie chciał przyznać, że się boi, wszyscy mówili cesarzowi, że to dobry znak: cała natura powstrzymuje oddech, aby powitać nowego boga.

Wzywali Augusta, aby się zajął ofiarą, gdyż Sybilla prawdopodobnie po to wyszła z jaskini, aby się pokłonić duchowi opiekuńczemu cesarza.

Ale Sybilla tak była zajęta wizją jakąś, że ani wiedziała o tem, że August przybył na Kapitol. Duchem przeniesioną była w daleką krainę i zdało jej się, że wędruje przez wielką równinę. W ciemności potykała się nieustannie o coś, co jej się wydawało pagórkami ziemi. Schyliła się aby pomacać. Nie, to nie była ziemia, to owce. Szła pomiędzy dużemi stadami śpiących owiec.

Teraz dostrzegła ognisko pasterzy. Płonęło śród pola, a ona po omacku zbliżała się ku nim. Pasterze leżeli w koło ognia i spali, a koło nich leżały długie, kończate kije, którymi zwykli byli bronić trzody przed dzikiemi zwierzętami. Lecz te małe zwierzęta z iskrzącemi oczyma i kiściastymi ogonami, czyż to nie szakale? A pasterze nie rzucają w nich kijami, psy śpią, owce się nie płoszą, a dzikie zwierzęta układają się obok ludzi na spoczynek.

Wszystko to widziała Sybilla, nie widząc za to nic z tego, co się działo tuż za nią na wzgórzu. Nie wiedziała wcale, że tam ustawiono ołtarz, rozżarzono węgle, nasypano kadzideł i że cesarz wyjął gołębia z klatki, aby go ofiarować. Jednak ręce jego tak były zdrętwiałe, że nie mogły ptaka utrzymać. Jednem uderzeniem skrzydeł gołąb się uwolnił i znikł w górze w nocnej ciemności.

Skoro się to wydarzyło, spojrzeli dworzanie nieufnie w stronę Sybilli. Sądzili oni, że wypadek ten spowodowała wieszczka, świecąca jak próchno wśród nocy.

Czyż mogli wiedzieć, że Sybilla czuła się ciągle jeszcze obecną przy ognisku pasterzy i że nadsłuchiwała jedynego słabego głosu, co drzący przenikał martwą ciszę nocną? Słyszała go długo przedtem, zanim zauważyła, że nie z ziemi idzie, tylko z obłoków. Nareszcie podniosła głowę i ujrzała jasne, lśniące postacie, migające w ciemności. Były to grupy małych aniołków, śpiewających słodko, które jakby szukając latały nad równiną, to tu, to tam.

Podczas gdy Sybilla przysłuchiwała się śpiewom anielskim, zabieral się cesarz właśnie do nowej ofiary. Mył ręce, oczyścił ołtarz i kazał sobie podać drugiego gołębia. Pomimo jednak, że teraz wszystkich sił dobył, aby gołębia utrzymać, wyśliznął się gładki tułów ptaka z jego ręki i ptak wzniósł się w nieprzenikniony obszar nocy.

Cesarza zdjęła groza. Rzucił się przed pustym ołtarzem na kolana i w modlitwie do swego genjusza błagał go o odwrócenie nieszczęścia, które ta noc zdawała się przepowiadać.

I tego wszystkiego Sybilla nie słyszała. Całą duszą nadsłuchiwała śpiewu aniołów, który coraz głośniej się rozlegał. Wreszcie stał się tak potężnym, że zbudził pasterzy. Podparli się na łokciach i patrzyli na korowody jasne srebrzystych postaci, jak w długich falujących szeregach, niby ptaki wędrowne, unosiły się w górnych ciemnościach. Niektóre miały lutnie i skrzypeczki w ręku, inne znowu cytry i arfy, a śpiew ich był radosny, jak śmiech dziecięcy i swobodny, jak świegot skowronka. Słysząc to, pasterze zebrali się, aby pójść do górskiego miasteczka skąd pochodzili i opowiedzieć o cudzie.

Szli wązką, krętą ścieżką, a stara Sybilla szła za nimi. Naraz szczyt góry zajaśniał. Duża jasna gwiazda zabłysła nad nim, a całe miasteczko na górze migotało jak srebrne w świetle tej gwiazdy. Wszystkie śpiewające chóry aniołów pospieszyły tam z nawoływaniem radosnem, a pasterze przyspieszyli kroku tak, że biegli prawie. Doszedłszy do miasteczka, zobaczyli, że aniołowie zgromadzili się nad niską stajenką w pobliżu bramy miejskiej. Była to nędzna szopka ze słomianym dachem, a tylną ścianą w skale. Nad nią stała gwiazda, tam to gromadziły się coraz liczniejsze zastępy aniołów. Niektóre osiadały na strzesze, inne spuszczały się na skałę za szopką, inne znowu, bijąc skrzydłami, przelatywały ponad nią. Wysoko w górę biła w powietrze jasność promienna.

W tej chwili, kiedy gwiazda zajaśniała nad górskiem miasteczkiem, zbudziła się cała przyroda, a i mężowie będący na szczycie Kapitolu także to zauważyć musieli, poczuli świeży błogi powiew z przestrzeni, słodkie zapachy popłynęły wkoło nich, drzewa zaszemrały, Tyber począł szumieć, gwiazdy zabłysły a naraz i księżyc ukazał się wysoko na niebie i oświecił świat. Z obłoków zaś spuściły się dwa gołębie i usiadły cesarzowi na ramiona.

Po tym cudzie wyprostował się August dumną radością przejęty, a jego przyjaciele i niewolnicy padli na kolana.

— Ave Caesar!****) — wołali. — Twój genjusz opiekuńczy ci odpowiedział. Jesteś bogiem, który na szczycie Kapitolu ma być uwielbiany!

A hołd ten, który mężowie w uniesieniu składali cesarzowi, był tak rozgłośnym, że i stara Sybilla go usłyszała, krzyk ten przerwał jej widzenie. Podniosła się z krawędzi skały, na której siedziała i już bez światłości żadnej zeszła między ludzi. Była teraz jakby chmura czarna co wyszła z przepaści, aby się spuścić na wzgórze. Straszna wprost, w swojej starości. Zmierzwione włosy wisiały w skąpych kudłach wkoło jej głowy, stawy jej członków były zgrubiałe, opalona skóra powlekała ciało jak korą drzewną, zmarszczka przy zmarszczce.

***) Mitologiczna postać prastarej rzymskiej wróżki.

****) Niech żyje cesarz!

archiwum

Mimo to, potężna i groźna, szła do cesarza, nagłym ruchem ujęła go za przegub ręki, a drugą wskazała daleki Wschód.

— Patrz! zawołała, rozkazując, a cesarz podniósł oczy i patrzył. Przestrzeń zniknęła przed jego wzrokiem i przenieśli się oboje na Wschód daleki. Zobaczyli ubogą stajenkę pod skalistą ścianą, gdzie w otwartych drzwiach klęczało kilku pasterzy. W szopce ujrzał młodą matkę, klęczącą przed dzieciątkiem, które leżało w żłobie na sianie.

Wielki kościsty palec Sybilli wskazał to ubogie dziecko.

— Ave Caesar! — zawołała Sybilla z szyderczym śmiechem. — Ten ci jest Bóg, który na szczycie Kapitolu będzie miał ołtarze!

Cesarz cofnął się wstecz od niej, jak od obłąkanej. Ale Sybillę porwał przemożny duch proroczy. Jej mętne oczy rozgorzały, jej ramiona wyciągnęły się ku niebu, jej głos spotężniał tak, że zdawał się nie z niej wychodzić; miał dźwięk i siłę taką, że mógł na cały świat być słyszanym. A to co głosiła, zdała się w górze z gwiazd wyczytać.

— Jako Boga uwielbią na Kapitolu Chrystusa, co świat odnowi, albo Antychrysta, ale nie ludzi znikomych!

To powiedziawszy przeszła pomiędzy zdrętwiałymi z lęku mężami, zeszła z pochyłości wzgórza i znikła.

Nazajutrz zaś wydał August ludowi ostry zakaz stawiania mu świątyni na Kapitolu. Natomiast wzniósł tam świątynię nowonarodzonemu Bogu i nazwał ją „Ołtarz nieba" — Ara Coeli.

Choinka.

Pięknym naprawdę jest zwyczaj ustawiania w dniu Narodzenia Syna Bożego przystrojonego drzewka. Piękny i miły to zwyczaj.

Kiedy rodzina cała zbierze się dokoła choinki, śpiewając:

„Bóg się rodzi, moc truchleje
Pan niebiosów obnażony,
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,
Ma granice nieskończony..."

lub

„Przybieżeli do Betlejem Pasterze..."

i t. p. kolendy, każdy jest taki jakiś radosny i zadowolony.

Ale o ileż piękniejszym jest zwyczaj, przyjęty przez niektóre drużyny harcerskie — urządzania choinek dla biednych dzieci.

Kiedy bowiem wielu z nas zajada łakocie, ogląda podarki gwiazdkowe i zachwyca się pięknie jarzącem się drzewkiem, ileż dzieci spędza ten czas w smutku.

Nie stać ich rodziców na kupienie drzewka, a tembardziej na ubranie go, nie stać na łakocie i podarki. Jedyną ich pociechą w tej uroczystej chwili są kolendy.

A ileż jest dzieci, które wcale nie znają ciepła rodzinnego ogniska?

Dlatego też niektóre drużyny harcerskie wzięły sobie za zadanie urządzanie choinek dla takich dzieci. Jak się to robi dla przykładu wam opowiem.

Najpierw należy wystarać się o drzewko i ubrać je. Zresztą wiele drużyn co roku urządza choinkę harcerską, bądź to w harcówce (izbie), bądź też w sali szkolnej. Można więc użyć tego samego drzewka i tej samej sali. Ubranie choinki zależy od pomysłowości organizatorów, a zwłaszcza organizatorek. Należy użyć do ozdobienia, oprócz papierowych i szklanych cacek, także cukierków, pierniczków i jabłek, ale uczynić to tak, aby po zdjęciu tych smacznych rzeczy, drzewko nie było ogołocone z ozdób.

Drugą, niemniej ważną czynnością jest wyszukanie biednych. Każdy harcerz czy harcerka powinni odszukać przynajmniej jedno dziecko, które niema choinki. Znajdą je napewno w tym samym domu, gdzie mieszkają, gdzieś w sąsiedztwie, lub wreszcie w biedniejszej dzielnicy.

W ten sposób zbierze się poważna liczba gości. (Jeżeli członkowie drużyny są niezbyt zamożni, można naturalnie zaprosić mniejszą ilość dzieci).

Należy sobie już wcześniej przygotować program, złożony z zabaw i śpiewów. W jednych i w drugich harcerze winni wziąć czynny udział, na równi ze swymi gośćmi. Jeżeli w pokoju znajduje się fortepian, dobrze jest zaimprowizować jakiś mały popis koncertowy, bo (zwłaszcza na prowincji) biedne dzieci mało słyszą dobrej muzyki i śpiewu.

Należy potem podzielić między dzieci trochę jabłek, cukierków i pierniczków, a jeżeli drużynę na to stać, to uczęstować je herbatą, względnie również dać każdemu jakiś drobny upominek — książkę, obrazek, zabawkę i t. p.

Program ten może być zmieniony i urozmaicony, należy to już do urządzających.

A więc, druhny i druhowie, do czynu! Nie namyślajcie się długo, bo czas stracicie i nic nie zrobicie!

Poray.

M. Ilnicka.

Z Opłatkiem Wigilijnym.

Łamię się z wami dziś opłatkiem białym,
Wy, wszyscy moi dalecy, czy bliscy,
Wy, co za błędnej gwiazdy ideałem
Po świecieście się rozproszyli całym,
Wy, co pijecie z rzek lodowych zdroi,
Ducha nie tracąc pod troski nawałem,
Wy, wierni, mocni, wytrwali, — wy wszyscy,
Których rząd jasny przed wzrokiem mi stoi,
Związani ze mną węzłem wiecznie trwałym, —
Z wami się łamię dziś opłatkiem białym.

I z wami, którzy w życia ciężkim trudzie
Orzecie ziemi naszej zagon twardy,
Czystego serca i uczynków ludzie,
W których duch mieszka, na podłość za hardy,
Wy, co grodzicie się murem pogardy
Od tego, co jest pełzania zakałem;
W żadnego błota niestarzani brudzie,
Którym Bóg za to da dziś sen o cudzie:
Ukaże niebo z jego blaskiem całym, —
Z wami się łamię dziś opłatkiem białym.

Z wszystkimi, których nieskalane dłonie,
Z wszystkimi, których postacie niezgięte —
Przez to, co kocham w własnem mojem łonie,
Co w każdej ludzkiej piersi jest mi święte,
Dla Chrystusowej gwiazdy, co dziś płonie,
Dla Boga, który w ludzkości się rodzi.
Gdy duchy ludzkie idą wniebowzięte,
Dla tego, co nam w nędz i trosk powodzi
Zostaje jasnem, czystem i wspaniałem, —
Łamię się z wami dziś opłatkiem białym.

Z modlitw harcerskich

Daj nam Ty, Boże, jak piorun słowo
I czyn o mocy daj jako grom —
Ojczyźnie bowiem chcemy na nowo
Od fundamentów budować dom.

O zwól nam nakształt dawnych rycerzy
Z wiarą niezłomną iść w przyszłość, w dal,
Że to, co na dnie dusz naszych leży,
Przekujem wrychle na czynu stal...

Wytargnij z piersi gnuśność nikczemną,
Co pęta siłę młodzieńczych dusz,
Słabych napełnij mocą tajemną,
Lub jako drzewo bezpłodne skrusz...

A gdy nam każesz, będziem się trudzić —
Niechaj nas krwawy orasza znój —
Lecz zwól nam, Panie, dusze obudzić
I na zwycięski powieść je bój...

A gdy na nasze z dziką pogardą
Młodzieńcze hasła zawyje tłum —
Daj nam przez trudy, przez dolę twardą,
Niech skrzydeł naszych porwie go szum...

O zwól nam dzisiaj, błagamy Boże,
Otuchy krzepkiej niepłonną moc,
Że życiem własnem rozniecim zorze
Że już nie wróci niewoli noc...

J. Trawiński

OSTATNIA PASTORAŁKA.

Opowieść wigilijna.

Dzwonki sanek, ślizgających się po ulicach, radośnie dźwięczały w łagodnie zimnem powietrzu.

W takt pląsały białe, pulchne płatki śniegu, od dłuższego czasu ustawicznie i zwolna padające na ziemię.

Wszystko przepełnione było jedyną myślą:

— Wigilja!

— Chrystus nam się narodził!

Im bliżej zmierzchu — tem coraz bardziej zwiększał się ruch na ulicach. Sklepy były przepełnione; ludzie, objuczeni paczkami, paczuszkami, pudłami, przemykali niezgrabnie obok siebie, potrącając się na śliskich chodnikach. Raz po raz chwiały się nad głowami przechodniów, z tryumfem jakgdyby, niesione choinki.

Gorączkowy pośpiech dnia wigilijnego, zbliżał się do tej radosnej chwili, jednoczącej wszystkich wokół rodzinnego stołu, przy którym zapomina się wzajemnych uraz, żalów...

Jedyny to wieczór roku...

W pokoju zegar tikał monotonnie.

Michał słuchał odgłosów ulicy.

Patrzał przed siebie z obojętnością, która jemu samemu dziwna się wydawała.

— Czegoż ci ludzie tak się radują? Tak spieszą niecierpliwie do domów?

Cały ten gwar oddalony był mu dziś zupełnie obcy.

Smutny uśmiech przemknął mu po twarzy.

Cóż go jeszcze mogły obchodzić te małe radości jednego dnia. Krótka chwila, po której niezawodnie powraca życie ze wszystkiemi swemi goryczami i trudami.

Michał przestał być czuły na wszystko. Nie wierzył, aby przyjść mogły dla niego jaśniejsze dni. Czuł, że załatwił już swe obrachunki z życiem.

Gorączka, pożerająca jego młode siedemnastoletnie piersi, aż nadto dawało mu to odczuć.

Udawał zawsze, że wierzy w możliwość wyzdrowienia, krył się z cierpieniami przed kolegami i matką, dla której był jedyną nadzieją.

Aż nastąpił przełom.

Na ostatniej z wycieczek harcerskich dostał krwotoku.

Leżał już miesiąc przeszło, coraz bardziej pozbywając się nadziei i pragnień jakichkolwiek.

Bezmierny smutek opanował go tak dalece, że zmuszał się do zainteresowania rozmowami odwiedzających go druhów.

Leżał blady i apatyczny, oczy tylko świeciły nienaturalnym blaskiem, jak gdyby zaprzeczając ruinie, która dokonywała się w młodych zmęczonych piersiach Michała.

Prędko znużył go głuchy zgiełk ulic. Odwrócił głowę od okna. Wzrok jego padł na matkę, krzątającą się frasobliwie przy gotowaniu wieczerzy.

— Pocóż to? przemknęło mu przez głowę, nie chciał jednak nic mówić — czuł w tem jedyną radość matki. Wydała ostatni grosz, by nie uchybić tradycji, której była czułą i ostatnią strażniczką w domu.

— Biedna mama, cóż ona pocznie, jak umrę, myślał.

Dotąd pomagał jej lekcjami przy utrzymaniu domu. Od miesiąca nic nie zarobił. Przeżywali mizerne swe oszczędności, a po nocach widział jak matka szyła przy nędznej lampce bieliznę dla sąsiadów.

Dla niego! Na lekarstwo!

Skurcz chwycił go za gardło.

— Mamo... szepnął.

Usłyszała i przybiegła natychmiast.

— Co Michaś?... Co?... Boli?...

Pochyliła się nad nim pełna bezmiernej matczynej miłości. Gładziła zwichrzoną czuprynę chłopca.

— Mamo, co będzie, co będzie, jak ja...

Zamknęła mu usta pocałunkiem.

— Nie mów tak, nie mów...

Odwróciła się nagle i odeszła, a za chwilę wybiegła do sieni.

Wiedział dlaczego.

Długo patrzał przed siebie wzrokiem, który nic nie widział.

archiwum

Powoli, zmęczony zasnął.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Obudził go szept rozmowy.

Otworzył oczy. W pokoju zapadał już zmrok.

Anka kręciła się jak fryga po pokoju, nakrywając stół białą serwetą.

Wsadziła pod serwetę wiązeczkę siana, ustawiała talerze, i korzystając, że nikt na nią nie patrzy, wyciągnęła chusteczkę z za paska i wsuwała coś pod talerze.

Michaś patrzał na to z pod ledwo uchylonych powiek.

— Anka.

Zarumieniła się, złapana na gorącym uczynku. Podeszła do łóżka.

— Poco to robisz? Przecież sama nic nie masz.

— O przepraszam, dziś dostałam gwiazdkę w magazynie. Całe dwadzieścia złotych! Jestem bogata! — śmiała się.

Uśmiechnął się pobłażliwie.

— Czemu nie kupisz sobie czego.

— Cicho, mały, i ja muszę mieć jakieś przyjemności, nic mi właśnie większej radości nie sprawia, jak mogę zrobić komu przyjemność...

Michał wziął ją za rękę i patrzał w oczy.

— A co sobie kupiłaś?

— Jeszcze nic... — szepnęła wahająco.

— A mnie? — zapytał przekornie.

Podskoczyła do drzwi, gdzie wisiał jej płaszczyk.

— Patrz! — rzekła trzymając w ręku zawiniątko i, nim Michał mógł się spostrzec, położyła mu je na łóżko, podbiegła nagle do matki chłopca i zaczęła ją gwałtownie ściskać i całować.

Michał przywołał ją.

W ręku trzymał śliczny kompas — podarek Ani.

— Dziękuję, — szepnął — ale to już mi nie będzie potrzebne; igła życia wskazuje mi inny kierunek drogi.

— Michaś, Michaś. Nie mów tak, dlaczego i ty o tem ciągle mówisz?

— I ja?!... A widzisz, że tak wszyscy mówią.

— Nie, nie! zaprzeczała gorąco.

— Do stołu, dzieci, do stołu. Wieczerza gotowa, wołała matka.

Przysunęły stół do łóżka. Michał dźwignął się z trudem i usiadł, opierając plecy o poduszkę.

Matka wzięła opłatek i przybliżyła do syna, ręce jej drżały, gdy się z nim łamano, milczące usta nic wymówić nie mogły.

— Zdrowia.. wykrztusiła wreszcie. Chwyciła go w ramiona, okrywała twarz i głowę pocałunkami, spazmatycznie tuliła do piersi, łkając rozpaczliwie.

Opanowała się szalonem wysiłkiem woli.

— A tobie Anko, abyś wyrosła na dzielną kobietę, żonę i matkę.

— Dziękuję, szepnęła całując serdecznie rękę przybranej matki.

— A ja, mówi Michaś, wiesz czego ci życzę lecz i proszę, abyś zawsze matuś moją uważała za swą własną, przygarnął jej wychudzoną rękę i pocałował w czoło.

— Zawsze, przysięgam ci, szeptała.

— Dziękuję, siostro...

Wieczerza odbywała się w milczeniu. Przygniatający strach o Michała wiązał wszystkim usta, odbierał temat.

Nawet Anka nie zdolna była do zwykłej żywości i humoru.

Drugi raz przeżywała w swem młodziutkim życiu tragedję konania. Przed trzema laty straciła matkę, a dziś...

Odstawiono wreszcie stół i zaczęto śpiewać kolędy.

Michał wtórował zcicha. Męczyło go to jednak widocznie, jak wszelki zresztą wysiłek.

Wieczerza rozstroiła go zupełnie.

Czuł, że jest ostatnia, bezwzględnie ostatnia.

Wyrok śmierci był już od miesiąca wydany.

Żal mu trochę było tak rychło schodzić ze świata, żal matki, Anki, druhów...

Chciałby ich widzieć dziś swoich chłopaków z drużyny, którzy tyle mu okazali braterstwa... Gdyby dziś...

Ale dziś każdy siedzi w domu, śród swoich.

Pamięta rok temu — urządził dla nich wigilję w izbie harcerskiej, jak tam było dobrze, kochanie...

Anka nuciła kolędy...

Nagle, usłyszał na schodach kroki kilka ludzi. Czekał. Minęli piętro, drugie. Kroki zatrzymały się przed drzwiami. Słaba nadzieja. Stukano do drzwi.

Matka i Anka spojrzały zdziwione, ktoby o tej porze mógł do nich przychodzić?

— Proszę, wymówiły jednocześnie.

Oczy Michała błysnęły, uśmiech zaigrał na jego ustach.

Do pokoju weszło dziewięciu kolędników, jeden w chłopskiej łowieckiej sukmanie trzymał szopkę kunsztownie wykonaną.

Rozgospodarowali się w mieszkaniu.

Zagaił grubym głosem:

— Oto, moiściewa, zacne państwo, ujrzyta zara onom dziwnom historyję, kiedy Jezusek nasz się narodził, a zły Heród chciał go zabić, jak mu się to ta nie udało — patrzajta.

Michał poznał Janka, najweselszego chyba ze wszystkich przybocznych świata.

Nie mówił jednak nic, patrzał z zaciekawieniem.

Kolędnicy odegrali z zapałem przepiękną pastorałkę.

Gdy skończyli, odezwał się znów zapowiadacz:

— Co ujrzawszy, szlachetne państwo, bońdźta zbudowane, że tak źle nie je na świecie, że zawszeć ta dobre bendzie górom. A tera...

Anka chwyciła talerz z orzechami i jabłkami.

— Dajta spokój. My ta już dostali i dla nas i dla was starcy.

I dodał głosem naturalnym.

— Druh intendent!

Wnet intendent, przebrany za św. Mikołaja, zbliżył się do Michała i złożył mu prezent — zakopiańską ramkę z rzeźbionemi ostami a w niej fotografja zbiorowa drużyny; u dołu widniały podpisy.

— To od nas...

I nie dopuszczając do rozczulań, ciągnął:

— A to dla matki naszego komendanta-brata.

— Położył przed nią paczuszkę.

Rozwinęła ją.

Był w niej wełniany sweter.

Zapowiadacz zawrócił się wreszcie do Anki i rzekł:

— A to dla samarytanki Michasia.

Przemocą omal włożył w ręce zawstydzonej Anki śliczne podłużne pudełeczko.

Otworzył je sam.

Wewnątrz, w przegródkach powsadzane były buteleczki i pudełka z lekarstwami.

Michał uśmiechnął się.

— To było jej marzenie. Dziękuję, dziękuję, kochane, drogie chłopaki.

— Nie mów dużo, bo cię to męczy. Dowiedz się lepiej, żeśmy na naszej szopie zarobili dziś tyle, że wyjeżdżasz do Zakopanego.

— Jakto?!

— Ano obeszliśmy bogatych naszych przyjaciół; rozdawaliśmy wszędzie dzieciom prezenta, które przez trzy aż miesiące wyrabialiśmy (to jest prezenta, nie dzieci), no i podsuwaliśmy delikatnie a szelmowsko kwitarjusz drużyny...

Matka i Anka patrzały na chłopaków wzruszone i bezmiernie wdzięczne.

Michał słuchał. Ożywiły go plany chłopców. Przez chwilę przebiegła mu myśl.

— A może?... Może jeszcze wyjadę?

Lecz świadomość swego stanu szybko odzywała się jednak zdecydowanem, strasznem słowem:

— Zapóźno!...

Gwar, zapanował w cichem mieszkanku Michała. Chłopcy zaczęli opowiadać swe wrażenia.

Tymczasem św. Michał-intendent wysypał na stół resztę zawartości plecaka.

Były tam wszelkie łakomstwa świąteczne — bakalje, owoce, orzechy.

Harcerze, wciąż gwarząc, jeden przez drugiego rzucili się na zapasy zasłużenie w trudzie artystycznym zdobyte.

Jeszcze z godzinę bawili chłopcy u Michała, zabijając ponure myśli mieszkańców niefrasobliwym zgiełkiem i wesołością.

Każdy, wychodząc, podchodził z serdecznemi życzeniami do Michasia.

— No postaraj się, aby ci było lepiej. Za tydzień powinieneś być w górach, żegnał go przyboczny.

— Będę... w górach! odrzekł z tajemniczym uśmiechem.

Uśmiech ten pozostał mu na ustach przez resztę wieczoru.

Czule ściskał rękę Anki, gdy odchodziła do siebie.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Rano Michał spał dziwnie długo...

— — — — — — — — — — — — — — — —

I nie obudził się już nigdy.

Był... w górach...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Na ustach zastygł mu ten sam uśmiech, z jakim żegnał bratnią gromadę harcerską...

Ery... Z.

Eryk Zieliński.

KLUB SREBRNYCH CZUWAJÓW.

2*]

Zapalił lampę, pociągnął go na otomanę.

Pokój tonął w półcieniu, rozświetlony zlekka palącem się drzewem.

Ogień rzucał krwawe plamy na twarze chłopców, uwydatniał ostre ich pełne energji rysy.

— ...Przed trzema godzinami, ciągnął rozmowę Stefan, chciałem Ci sprawić niespodziankę i mimo deszczu przyszedłem. Matuś twoja zatrzymywała mnie, lecz byłem ciekaw, czy cię jeszcze poznam. No, i jakoś poznałem. Śmiać mi się chciało z twego zakłopotania.

— Wcale mi przez myśl nie przeszło, że to ty być możesz!

— Inaczej, mnie sobie wyobrażałeś po tych czterech latach?

A ja — nie! Coprawda twoje listy, styl, myśli, właśnie taki powinny były mieć wyraz.

— No, mniejsza o to. Nie mogłem być zbyt czułym na twe telepatyczne fluidy. Pochłaniała mnie całkowicie nowa idea.

— Która z rzędu?

— Złośliwy jesteś. Wiesz przecież, że ideje moje, jeśli są realne, zawsze w czyn wprowadzam.

— A jeśli nierealne?...

— Wtedy czas i zawód wyperswadują mi je. Dzisiaj przyszło mi naprzykład na myśl, aby swoim chłopakom zafundować namiot na lato.

— Czy to deszcz cię tak nastroił?

Julek roześmiał się.

— Najpierw postaraj się im lepiej o świetlicę na zimę, a później dopiero pomyślimy o lecie.

— „Pomyślimy"? — Masz może jaką gotową radę?

— Może i coś więcej?...

Julek spojrzał nań żywo.

— Zostaję tutaj.

— Nie może być! — Porwał Stefana za ręce. — Zostajesz? Stefku, kochany chłopaku! Niech cię uściskam! Jakże to się jednak stało?

— A stało się tak: przyjąłem poprostu posadę w fabryce u wuja. Zostałem pomocnikiem kasjera.

— A twoje studja?...

— Trudno! Wiesz, że na łaskawy chleb zgodzić się nie mogę. Będę dojeżdżał do Warszawy od czasu do czasu, a zresztą będę uczył się tutaj. Są przecież bibljoteki, skrypta mam...

— Prawda, na prawie tak można...

— Czasem trzeba! Jeszcze dwa lata tylko, a potem...

— A potem?

— Potem...

Stefek zamilkł. Przesunął rękę po czole, jakby odpędzając marzenie przyszłości.

— Ale, ale — rzekł nagle — wiesz, spotkałem w Koluszkach, no, zgadnij kogo?

— Nie jestem duchem świętym.

— Ciężka wogóle z ciebie artylerja... No? — Olgierda. Jechał do Krakowa, ale go zarekwirowałem. Jest u mnie i już z powodzeniem zawraca głowy moim kuzyneczkom.

— No, proszę, proszę! Zawsze ten sam. I dlatego nie chce do mnie przyjść?

— Mam mu dać znać czy jesteś.

— Wygodniś! Chodź zatem.

Prześli do gabinetu ojca. Julek przekręcił korek lampy. Błysnęło światło. Po chwili połączono ich z domem państwa Węgierskich.

— Wujaszek? — Tu Stefan. Proszę poprosić Olgierda do telefonu! — Co? — Rozmawia z Halszką? — To niebezpieczne. — A, to ty! — Oddaję słuchawkę Julkowi.

W pół godziny później przed domem rozległ się sygnał auta.

Zjawił się Olgierd. Naciągnął pana Węgierskiego na samochód, do którego wpakowały się również panny, chcąc, mimo pogody, zażyć przejażdżki.

Olgierd stanowił kontrast ze Stefanem.

Widać było na pierwszy rzut oka, że dbał bardzo o siebie. Wygolony starannie, pachniał fjołkami; ręce miał troskliwie utrzymane; eleganckie ubranie, trzewiki i getry świadczyły o dobrym smaku, lecz i odrobinie próżności. Twarz miał pociągłą, a wysokie czoło nadawało jej wyraz wybitnej inteligencji.

— Wiesz — zaśmiał się Stefan na podziw Julka — pierwszą rzeczą jego po przyjeździe była godzina siedzenia w umywalni.

— Trudno, człowiek obraca się między ludźmi — odrzekł Olgierd.

— I to ma być harcerz?! To ma być prostota, natura — wołał rozbawiony Julek.

— Jestem jak najnaturalniejszy — nie mam ani sztucznych zębów ani peruki.

Roześmiali się.

Niebawem nastąpiła gorączkowa, chaotyczna rozmowa o wszystkiem.

Przerwało ją pukanie do drzwi.

Odwrócili głowy.

Wszedł nowy gość, na widok którego Julek zerwał się radośnie.

— A-a! Władek! Byłem u ciebie przed godziną. Doskonale, żeś przyszedł!

— Co? Stefan? Tu? — zdumiewał się nowoprzybyły.

— Ano, widzisz... Dola — niedola!

Przerwał im Julek, przedstawiając Władka Olgierdowi. Przywitali się, jak starzy znajomi.

— Druhowie się znają?

— Owszem, owszem, poznaliśmy się na zlocie w Warszawie.

W tejże chwili Milord, wcisnąwszy się przez niedomknięte drzwi, szedł przywitać miłych gości swego pana.

— A to mój najwierniejszy przyjaciel: pan Milord — druh Stefan, druh Olgierd, a to stary nasz druh, Władek.

Milord podawał kolejno łapę, radośnie kręcąc ogonem.

— Wybraź sobie Władku, wołał Julek, że Stefan na serjo zjechał do nas, a co lepsza, ma zamiar nawet pracować z nami.

— Nie może być? A prawo?

— Puszczam je trochę kantem, jeśli chodzi o wykłady, ale to narazie mniej ciekawe, powiedzcie mi raczej, co z wami się dzieje, jak żyjecie, czem żyjecie? Tacy byliście niepiśmienni, że aż wstyd, doprawdy.

— Zadużo wymagasz, mój drogi, odrzekł Julek, niedość, że troski żywota z trudem dźwigamy na barkach, jeszcze nieproduktywnie czas trwonić na pisanie?! zwłaszcza, gdy ma się na głowie drużynę i jej nieznośnego komendanta, wskazał na Władka.

— A to dobrze się składa, rzucił krótko Stefan. A cóż ty masz za funkcję?

— Ja?!...

Julek stanął na „baczność", wypinając dumnie pierś.

Trzasnął obcasami.

— Juljusz Krzemieniecki, przyboczny trzeciej drużyny im. hetmana Chodkiewicza.

— Aaa! Stefan pochylił żartobliwie z całem uznaniem głową. — Jeszcze lepiej. Zatem plan mój natrafia na pomyślny grunt.

— Jaki masz plan?

W tej chwili weszła służąca, niosąc na tacy herbatę z tartinkami.

Milord śledził przygotowania z zainteresowaniem.

Widząc, że wszystko w porządku, uwolnił się od przyjaźni Olgierda i zaczął ocierać się o nogi Julka.

— Milord! — niedźwiedź!

Pies zawstydzony, spuścił ogon i położył się na skórze niedźwiedziej, zdala pożądliwe patrząc na zakazane mu przyjemności.

Przy herbacie rozmowa potoczyła się żywiej, dokoła zamierzeń Stefana. Wypytywał się skrupulatnie o stosunki miejscowe, pracę w drużynach, kierownictwo, a wreszcie, niezbyt zadowolony z otrzymanych wiadomości, stwierdził:

— Jest źle! Musi być lepiej.

Władek, Julek zamienili szybkie spojrzenia.

— Bynajmniej nie mam zamiaru wam robić wymówek, niekoniecznie wyście zawinili, że jest tak, a nie inaczej. Ale chcę z wami przeprowadzić eksperyment...

— Nie wyobrażam sobie możliwości eksperymentowania w naszych warunkach.

— Wszędzie gdzie są ludzie, a zwłaszcza chętni i zapalni, można liczyć na pewien skutek pracy. Rezygnacja jest dowodem tchórzostwa i z tem należy walczyć bezlitośnie, a przedewszystkiem z własną niewiarą, za którą chętnie zawsze się rozgrzeszamy i z niej czerpiemy usprawiedliwienie dla bezczynności.

Oczy Stefana błyszczały przekonaniem.

*) W poprzednim odcinku „Klubu" wydarzył się figiel zecerski: zamiast „zbiedzonej szkapy" wydrukowano „znakomitą szkapę", co zupełnie nie odpowiada rzeczywistości. Red.

archiwum

Chłopcy milczeli.

— Ot mój drogi, odezwał się Olgierd, pocóż rozczarowywać się. Nie warto nadwyrężać się dla wątpliwych sukcesów. Jakich?... Z kim?... Kto ma być twoim współpracownikiem? Gromadka chłopaków, którym zaimponujesz na krótko zresztą. Niebawem i dla nich przyjdzie dzień, że rzucą szeregi harcerskie i nic im z tego nie zostanie, jak tego dowody masz wokoło...

— O mylisz się, przerwał Stefan, wiem dlaczego tak właśnie mówisz. Jesteśmy w gronie przyjaciół, nie mogę więc ominąć sposobności, by podkreślić twoje zasadnicze niepowodzenie w naszej pracy, jest niem twoja pycha. Nie chcesz znaleźć w nas ludzi godnych twej uwagi, nie umiesz poznać duszy ludzkiej, dlatego nie umiesz przywiązać do niej wagi właściwej.

— Frazesy!... Olgierd skrzywił się niezadowolony.

— To ty raczej zdawkowo sprawy traktujesz. Mój drogi, gdyby...

Przerwał nagle, dostrzegłszy na twarzy Olgierda ledwie widoczny skurcz stłumionego ziewnięcia.

Zapanowała kłopotliwa cisza.

Stefan wcisnął się w fotel i nerwowo gryzł keks.

— Władek usiłował nawiązać rozmowę, lecz ani Stefana ani Olgierda nie udało mu się w nią wciągnąć.

Olgierd podszedł do pianina i, próbując kilka akordów, rzucił w przestrzeń.

— Sentyment! Czułostkowatość!

— Nie!... Zerwał się Stefan. To jest uczciwie spełnianie obowiązku. Trzeba go tylko w sobie uświadomić.

— Zatem jestem nieuczciwy!

Olgierd czuł się dotknięty.

— Dowiodę ci, że nie masz racji, przekonam cię, zapalał się Stefan, jakby nie słysząc słów Olgierda. Julku, Władku? stajecie do apelu?

Zamiast odpowiedzi wyciągnęli ręce.

Olgierd wstał od pianina odwrócił się i sięgał do kieszonki. Wyjął szkło, które nasadził z nonszalancją na oko.

— Triumwirat?! wycedził przez zęby.

Niespodziewany odruch Olgierda stał się dla sytuacji katastrofalny.

Chłopcy parsknęli śmiechem. Prysł kłopotliwy nastrój. Śmiech wyrównał odrazu nieporozumienie.

— Ależ on jest bajeczny. Chyba Stefku nie możesz traktować tego tak tragicznie. Chodźże tu. Pociągnął Olgierda za rękaw.

Olgierd zlekka wyjąwszy swój rękaw z rąk Julka i strzepnął z powagą przypuszczalny kurz i poprawił szkło.

— Nek Hercules kontra srules, westchnął, udając żydowski akcent. Wiedźcież i mnie w tę gehennę waszej pracy, bo i ja nie jestem jeszcze tak na amen zgubiony, i ja...

Zadźwięczał telefon.

Nie kończąc zdania, rzucił się Olgierd do gabinetu i, nim chłopcy, pozostawieni w nowem zdumieniu, zdołali się zorjentować, usłyszeli głos:

— To pani, panno Halszko? — Tak, to ja. — Jak się bawię? — Ironjo! Okropnie! — Co? — Ja? — Nie? — To oni, Stefan mnie gnębi poprostu! — Urwać się? — Łatwo powiedzieć? — Co? — Dla pani! — Ależ świetnie! — Tylko czy mnie puszczą? — Co robią? — Ha, ha, ha! — Teraz? — Teraz ślubują sobie! — Co? — Ach nie, nie powiem, bo to straszna tajemnica! — Przyjeżdżać? — Na taki deszcz? — Ee! — Auto?! — Chyba! — Jaka pani dobra! — Zatem zaraz ich przekonam! — Dowidzenia! — Dowidzenia panno Halszko! — Hallo! — Nikogo...

Olgierd rzucił słuchawkę. Wracając do pokoju, zastał chłopców w tej samej zdezorjentowanej sytuacji.

— Zatem — ciągnął jakby nigdy nic. — Owszem... aha, o czemże to mówiliśmy. Prawda! ..i ja czuję w sobie wenę, zapał, chęć do życia, użycia, poprawił się patetycznie. Ech! Co zresztą dużo gadać Morowe z was chłopaki, dajcie gęby, po polsku. Trudno i ja mam wady, dużo wad, za dużo wad, lubię rzeczy, które są na indeksie, ale to moja kresowa natura, po za tem...

— To jest okropne! U niego zawsze się tak wszystko kończy! — wołał nawpół udobruchany Stefan. — Ten człowiek stale mnie do rozpaczy doprowadza, aby za chwilę...

Przerwał mu Olgierd.

— Potem pójdzie z wami ręka w rękę, o ile może, o ile chimery znów go nie poniosą, — dodał Olgierd.

— Ale, aby dzisiejsza scena nie pozostała w smutnej pamięci, przyjmijcie odemnie mały, braterski, upominek.

Wyciągnął z portfelu zawiniątko. Pochylili się ciekawie, gdy rozwijał papier — były tam cztery zgrabne, srebrne lilijki ze złotemi literami stylizowane artystycznie.

Wpiął każdemu i sobie po jednej.

Władek wpatrywał się badawczo w lilijkę.

— Co znaczy to złote „B"?

— Braterstwo! odrzekł poważnie Olgierd.

Stefan spojrzał nań dziwnie.

Olgierd pochwycił jego wzrok.

— Wiecie co? Mam świetną, cudowną myśl, rozentuzjazmował sę nagle Julek. Stwórzmy coś w rodzaju klubu.

— Dobra myśl zawtórował Władek.

— Zgoda! Pomysł ten idzie zupełnie po linji moich planów, mówił Stefan.

— Stwarzamy więc dziś, coś, czego dotąd u nas nie było — Klub.

— Braterski Klub...

— ...Srebrnych Czuwajów, dodał Stefan.

Za oknami auto, denerwując się oczekiwaniem, dawało niecierpliwe sygnały.

Po chwili uwoziło gości, macając ślepiami latarń mroczne ulice, zostawiając Julka, w miłem podnieceniu.

Gdy w godzinę później kładł się spać, zapomniał o zwykłem pożegnaniu Milorda, jakby wyłączając go od udziału w swej radości.

Zasypiając, przeżywał wrażenia dnia.

Próżno przypominał się Milord pieszczocie.

Julek chrapał. (D. c. n.).

Z pracy harcerskiej na Syberji.

Testament żyjących dla Młodzieży Polskiej w Harbinie.

Pozostawiamy Wam w spadku sztandar 1-szej Mandżurskiej Drużyny Harcerskiej Imienia Henryka Sienkiewicza.

Drużyna została założona 6 czerwca 1918 r. Założycielami byli: pp. Inżynier Aleksander Krzywiec, Feliks Aniol, Benedykt Krzywiec.

W roku 1919 drużyna liczyła 130 członków; w tym że roku odbyła dwumiesięczny letni obóz na Ruskiej Wyspie we Władywostoku.

Najświetniejsze czasy rozwoju drużyny przypadają na jesień 1919 r. i wiosnę 1920 r.

Drużynowym i Naczelnikiem był Druh Feliks Aniol; następnym drużynowym był Druh Benedykt Krzywiec i ostatnim Kazimierz Januszewicz.

Oprócz swych zwykłych zajęć, drużyna uroczyście obchodziła święta narodowe.

Pod tym sztandarem łączyła się w Harbinie młodzież polska i żarliwie pracowała nad sobą w kierunku ideałów narodowych i wszechludzkich.

Dziś ta młodzież w swojej większości powróciła lub powraca do Ojczyzny i wskutek tego szeregi młodzieży polskiej w Harbinie są nadwątlone.

Nie jesteśmy pewni przyszłego losu drużyny Harcerskiej w Harbinie, bo i resztki harcerzy mogą pociągnąć do Ojczyzny; przeto chroniąc ten sztandar, tę świętość naszą przed niepewnością, umieszczamy go w sali Gospody Polskiej, w szafce pod szkłem, wraz z niniejszem testamentem.

Polscy Harcerze Harbińscy mogą uroczyście ten sztandar wyjąć i pod nim występować; jeżeli zdołają doprowadzić drużynę do stanu następującego:

1. Ilość stale ćwiczących harcerzy (druhów i druhen) w drużynie, musi być co najmniej 20, w wieku od 12 lat i wyżej, nie licząc „wilczków" i „sarenek".
2. Co najmniej 4-ch zastępowych musi mieć stopień wywiadowcy.
3. Drużyna musi pozyskać piśmienne uznanie Stowarzyszenia „Gospoda Polska", że jest godna otrzymania sztandaru.
4. Drużyna musi odbyć letni, conajmniej dwutygodniowy, obóz.
5. W drużynie muszą być prowadzone wykłady języka polskiego, geografji i historji Polskiej.
6. Sztandar może być wyjęty conajmniej po 5-ciu miesiącach prawidłowych i systematycznych zajęć w Drużynie.
7. Klucz od szafki ze Sztandarem znajduje się w Polskim Konsulacie.
8. Na wypadek likwidacji Stowarzyszenia „Gospoda Polska", Sztandar przechowuje się w Polskim Konsulacie.
9. Testament niniejszy może zmienić Harcerstwo Naczelne

Podpisano: Prezes Honorowy, Prezes Patronatu, Naczelnik Harcerstwa w Mandżurji, Przyboczny Naczelnika Harcerstwa, Drużynowy i Sekretarz.

Harbin, w sierpniu 1920 r.

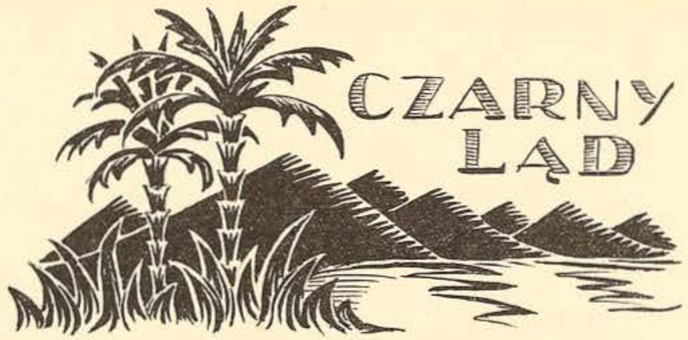

4)

Przygody polskiego harcerza w Afryce.

W pogoni za złodziejem.

Nie ulegało wcale wątpliwości, że kradzież popełnił Walliser-Morgan. Kiedy i jak, było to dla Szwabika zagadką. Lewandowski stracił zupełnie głowę. Szwabik zaś nie bardzo mógł go pocieszać, gdyż czuł się trochę winnym wynalezienia tej kryjówki, która ich tak kompletnie zawiodła. Skonsternowani siedli obaj przy stole, nie bardzo wiedząc, co począć.

— No! — rzekł Lewandowski — a co teraz?

— Chyba zamiadomić wachmistrza Jureckiego, — nieśmiało odpowiedział Szwabik.

— Ha! chyba to tylko — ale czekaj pan, najpierw trzeba coś zjeść.

— Byle prędko — odrzekł Szwabik.

Lewandowski zadzwonił na boya, a gdy ten się zjawił, kazał mu szybko przynieść cośkolwiek do jedzenia. Przyniesiono im zaraz pieczeni, a że zgłodniali byli, więc szybko uwinęli się z jedzeniem i w dziesięć minut, — pozostawiwszy Pikusia w hotelu, — jechali do biura policji. Tam na schodach spotkali wychodzącego właśnie Jureckiego, któremu pokrótce opowiedzieli, co zastali w hotelu. Jurecki bez namysłu wskoczył w najbliższy *rikshaw* i każawszy się zawieźć do hotelu, wprost udał się do pokoju Lewandowskiego.

Tu na miejscu kazał sobie opowiedzieć, gdzie i jak były schowane djamenty, oglądnął zamek u drzwi, przymknięte okno, zajrzał na wierzch szafy, kazał sobie pokazać leżącą w szafie walizeczkę, w której poprzednio były ukryte djamenty, następnie usiadłszy przy stole, zapalił cygaro i rzekł:

— Tak, więc kradzież popełnił Morgan z jednym lub dwoma wspólnikami. Korzystając z waszej nieobecności weszli oni od ogrodu na dach werandy, stamtąd po gzymsie dostali się do okna, i, otwarłszy je — bo górna połowa, jak zresztą wszędzie tutaj, była otwarta — weszli do pokoju. Ot, tu na gzymsie widoć odciski ich stóp, bo w wędrówce po ogrodzie uwalali sobie buty w świeżej ziemi. Dostawszy się do pokoju, przedewszystkiem zajrzeli do walizki, a nie znalazłszy tam djamentów, zaczęli szukać wszędzie.

— Skądże Walliser mógł wiedzieć, że zostawiłem djamenty w hotelu? — zapytał Lewandowski.

— Mojem zdaniem — odparł Jurecki, — Morgan, czy jak pan go nazywasz Walliser, śledził pana od Kapsztadtu za pośrednictwem swych nieznanych panu wspólników i dokładnie był poinformowany o tem, że pan swoje kosztowności nosisz w tej walizeczce. Prawdopodobnie zamierzano Pana sprzątnąć na okręcie, albo w którymś z portów, gdyby pan wysiadał na ląd. Tymczasem statek zatrzymał się tutaj i to nieco utrudniło Morganowi sprawę. Jeden ze wspólników śledził pana, Morgan zaś ukrył się w mieście, czekając sposobności. Dzisiejsze spotkanie wasze z Wallisserem było przypadkowe, ale z chwilą gdy pan go poznał, nie miał już czasu do stracenia. Widząc zaś, że dziś właśnie pozostawił pan w hotelu walizkę, z którą pan dotąd się nie rozstawał, mógł przypuszczać, że i djamenty pan też w hotelu pozostawił. Dlatego zaryzykował włamanie do hotelu, co mu się zresztą opłaciło.

— A jakże on znalazł te djamenty za szafą? znowu zapytał Lewandowski.

— Nic łatwiejszego, jak je znaleźć. Wskazywały drogę świeże ślady w kurzu, pokrywającym wierzch szafy. Szukając djamentów w pokoju jeden z drabów zajrzał i na szafę, a zobaczywszy starty w kilku miejscach kurz, domuślił się, że ktoś musiał tu coś robić na szafie. Reszta już zupełnie prosta. Zabrawszy djamenty uważali nawet za stosowne zostawić wizytówkę, a wyszli tą samą drogą, co przyszli.

Pan Lewandowski dotąd zachowywał się spokojnie, teraz jednak wzburzenie jego przebrało granicę i nie mogąc wytrzymać wybuchnął:

— Tak moja praca przepadła na zawsze! A niechże to jasny, najjaśniejszy piorun spali i połamie kości tym draniom, za moją krzywdę, za moją krwawicę!

Nie dziwne to było wzburzenie, bo stracił cały swój dorobek i z miljonera stał się naraz przeciętnym śmiertelnikiem. Ale Jurecki nie podzielał zdania Lewandowskiego.

— No, czy już całkiem wszystko przepadło, niewiadomo. Dziś stąd nie tak łatwo uciec.

Szwabik milczał dotąd, ale ziemia paliła mu się pod stopami. Uważał całą tę gadaninę za stratę czasu tylko i chciał jaknajprędzej ścigać złoczyńców. Korzystając więc teraz ze słów Jureckiego, które wskazywały, że i Jurecki ma zamiar wszcząć poszukiwania, zapytał:

— Gdzież szukać złodzieji?

Na to Jurecki odparł ze spokojem:

— Gdzie, tego jeszcze nie wiem. Złodzieje mogą się wydostać z miasta trzema drogami. Albo pójdą piechotą, co jest bardzo mało prawdopodobne, w takim razie muszą sobie nająć tragarzy i wyjść z miasta całą *safari*.[1]) Mogą też jakimś małym statkiem, bo wielkie już nie kursują, wypłynąć wzdłuż wybrzeża na północ lub na południe, a na pełne morze na byle jakiej *dhow*[2]) puścić się nie mogą. Wreszcie w trzecim wypadku mogą wsiąść na pociąg idący w stronę Kigomy i dojechać do jeziora Tanganyika, albo też wysiąść na którejkolwiek ze stacyj. Ale we wszystkich trzech wypadkach bardzo łatwo dowiemy się, dokąd się skierowali, bo ani żadna safari nie ujdzie uwagi policji, ani statek nie może wyjechać bez zezwolenia z portu, ani wreszcie nikt niespostrzeżony nie może wsiaść do pociągu. Rysopis Morgana zakomunikowałem już poszczególnym oddziałom policji, tak, że jeżeli wyjechali koleją wieczornym pociągiem, to wiadomość o tem powinna być już w biurze. Jest jeszcze jedna ewentualność, a mianowicie, że pozostaną w Dares, ale w takim razie znajdziemy ich bardzo łatwo.

— A czemuż pan nie kazał aresztować Morgana, tylko pozwala mu pan wyjechać? — wykrzyknął Lewandowski.

— Czy pan może mi zaręczyć, że on ma przy sobie djamenty? Może poprostu wyjeżdżać tylko dla zmylenia pościgu, djamenty zaś mógł schować u któregoś z wspólników. Wspólników Morgana nie znamy, że ich jednak posiada, to pewne — choćby z pańskiej sprawy. Schwycić ich zaś możemy tylko, obserwując Morgana. Dlatego też nie kazałem aresztować Morgana, bo inaczej spólnicy mogliby się nam ulotnić.

— Ach, tak! — mruknął nie bardzo przekonany Lewandowski.

— Jakże ich dostaniemy więc? — zapytał niecierpliwy Szwabik.

— Po otrzymaniu wiadomości, dokąd się Morgan skierował, udam się zaraz za nim z kilku ludźmi, których sobie już dobrałem, gdy będę zaś wiedział to, co mi trzeba wiedzieć o jego wspólnikach, wtedy ptaszka chwycę za kołnierz.

[1]) Safari — karawana tragarzy.
[2]) Dhow (czyt. dau) — barka arabska.

archiwum

Teraz już nadzieja wstąpiła w Lewandowskiego, udobruchał się i chwyciwszy Jureckiego za rękę ozwał się:

— Panie Jurecki, jeżeli dostanę z powrotem moje djamenty, to, słowo honoru daję, ma pan u mnie jeden z większych kamyczków, a o kosztach to nawet niema gadania!

— Bardzo panu dziękuję, — odparł Jurecki, — ale nawet bez tej obietnicy starałbym się o zwrócenie panu pańskiego mienia.

Tymczasem Szwabikowi nasunęła się myśl, czyby przy tej sposobności jaką się nastręczał pościg za złodziejami, nie można było zwiedzić wnętrza kraju i zobaczyć coś więcej poza wybrzeżem. Zresztą harcerzowi odpowiadał więcej pościg za złodziejami, niż czekanie z założonemi rękoma na jego rezultat.

— Cóż my tutaj będziemy teraz robić? Pan Jurecki będzie gonił naszych złodziei, a my będziemy siedzieć z założonemi rękoma? Najlepiej chyba byłoby wybrać się z panem Jureckim, wprawdzie będziemy mu może zawadzać, ale pomóc też czasem możemy.

— Tak... bezwątpienia... — rzekł Lewandowski, a po chwilowem wahaniu dodał:

— Naturalnie, jest to najlepsza myśl, o ile tylko pan Jurecki nie będzie miał nic przeciw temu.

— Jeżeli panowie macie zamiar mi towarzyszyć, proszę bardzo, ostrzegam jednak przed zbytecznym bagażem. Nie znaczy to, by panom miało czego braknąć w podróży, — przeciwnie — w podróż trzeba się wybrać dobrze ubranym i zaopatrzonym, ale nie wleczcie panowie ze sobą dziesięciu ubrań balowych i pięciu par lakierków. Rzeczy zbyteczne będzie można złożyć albo tu w hotelu, albo w którejśkolwiek firmie handlowej — nawet w firmie lepiej, bo firma na każde żądanie panów prześle rzeczy tam, gdzie panowie tego życzyli.

— Tak wiele rzeczy, żeby aż zostawić — nie mam, — rzekł Lewandowski, — wszystko co nam, może mi się przydać w podróży.

— Ja również mam tylko to co może mi się przydać w podróży, — pośpieszył dodać Szwabik.

— Tem lepiej — odrzekł Jurecki, — o inne rzeczy potrzebne w podróży, o chininę i tak dalej, sam się postaram — widząc zaś, że Lewandowski wyciągnął portfel, dodał, — tę drobnostkę zwrócimi pan później. A jak stoi sprawa z bronią?

— Mam browning i 8 milimetrowy Mauser z 300 nabojami, — pochwalił się Szwabik, Lewandowski zaś pogrzebawszy chwilę w jednym z swych kufrów, wydobył zeń zardzewiały pistolet dwururkowy, który z dumą podał Jureckiemu.

Brouning i Mauser, to dobre dla nas, — rzekł Jurecki, oglądając pistolet Lewandowskiego, — ale z tą dwururką nie wiele będzie można wskórać. Ile naboji ma pan do niej?

— Sześć sztuk odparł Lewandowski.

— To nie dużo. Lepiej niech pan ten pistolet schowa do kufra, a za to dam panu karabin z naszej zbrojowni, — spojrzawszy zaś na zegarek, dodał, — późno już, idźcie panowie spać, gdyż jutro musicie być na wszystko gotowi. Ubierzcie się jutro już do podróży i spakujcie rzeczy, a o szóstej przyślę wam żołnierza z tragarzami, którzy wezmą rzeczy, no i pójdziemy śladem Morgana.

Jurecki pożegnawszy się wyszedł, Lewandowski zaś i Szwabik wzięli się do pakowania rzeczy, przyczem Lewandowski co chwilę na myśl o swej stracie, to klął, to wzdychał, to wreszcie stwierdzał, że ma szczęście w nieszczęściu, bo natrafił na Jureckiego, który z pewnością odnajdzie djamenty.

— Nazajutrz rano Szwabik wstał przed szóstą. Ubrał się w swój skautowy mundur, który wydawał mu się najodpowiedniejszym do podróży w Afryce, tylko zamiast kapelusza włożył na głowę korkowy hełm, z kufra wyjął lornetkę i strzelbę, rewolwer i ładownicę przypiął do pasa i był gotów do drogi. Zaszedł do Lewandowskiego, ale go nie zastał, ponieważ ten poszedł uregulować rachunek w hotelu, zbiegł więc za nim do kancelarji hotelu. Lewandowski, ubrany również do drogi w swoje przykrótkie buty, zawołał, ujrzawszy Szwabika:

— Wyglądasz pan, jak angielski oficer!

— Bo też ten mundur jest wzorowany na angielskim mundurze kolonjalnym, — odparł Szwabik.

— Rzeczywiście Szwabik swoim wysokim wzrostem, swoją postawą i mundurem robił wrażenie wojskowego, a płowa czupryna i niebieskie oczy czyniły go podobnym do Anglika. Poczciwy Lewandowski już zdążył uregulować rachunek i za Szwabika i ani słyszeć nie chciał o jakimśkolwiek zwrocie, a nawet zapowiedział, że w podróży, którą przecież tylko w jego sprawie odbywać się będą, nie wolno Szwabikowi wydawać swoich pieniędzy. W chwili, gdy jeszcze targowali się o rachunek, boy hotelowy wprowadził do kancelarji wysokiego *asakera*,[1]) który, ujrzawszy Szwabika, przyłożył rękę do *tarbusza*[2]) i stuknąwszy obcasami, zapytał:

— *Bwana Siwabiki?*[3])

— *Ndio!*[4]) — odpowiedział Szwabik, dorozumiawszy się natychmiast, że tak w języku kisuaheli wymawia się jego nazwisko.

Wówczas podał mu list, który obaj z Lewandowskim z niecierpliwością oczekiwali. List brzmiał:

„Morgan z jednym towarzyszem kupili wczoraj bilety do Tabora i odjechali pociągiem o 20,15. Najbliższy pociąg odchodzi o 9,45. Proszę więc udać się na dworzec, rzeczy zabierze ombasza[5]) *Nyoga wraz ze swoimi ludźmi. Karabin przyniosę na dworzec. O resztę proszę się nie troszczyć".*

Jurecki.

Lewandowski przeczytawszy list, ryknął: „Teraz mamy już tego draba! i zaczął z radości klepać Szwabika po ramieniu, powtarzając: — A co, nie mówiłem? Jurecki, ho-ho, to główka — już on ich odnajdzie — nie bój się pan!

— Naturalnie, że ich odnajdzie, — potwierdził Szwabik, — a wtedy damy im łupnia. Ale chodźmy oddać rzeczy naszemu *ombasze*.

Zaprowadziwszy ombaszę do swoich pokoji, oddali mu rzeczy, *ombasza* zaś zawołał zaraz podobnie jak on umundurowanych tragarzy wojskowych i wręczywszy każdemu z nich część bagażu, zasalutował ponownie i ruszył na czele tragarzy na kolej.

[1]) Asaker — żołnierz, liczba mnoga askari.
[2]) Tarbusz — nakrycie głowy podobne do fezu, noszone przez niemieckich żołnierzy kolorowych.
[3]) Pan Szwabik?
[4]) Tak.
[5]) Starszy żołnierz.

(C. d. n.).

Od Redakcji.

„Życie harcerskie", którego miejsce w niniejszym N-rze zajęły nowelki, powetuje sobie tę krzywdę w następnym N-rze, zobaczą siebie tam wszyscy, którzy się niecierpliwią, nie znajdując w „Czuj Duchu" swoich korespondencyj. Będzie tam również sporo fotografij, na których brak już nie potrzebujemy się uskarzać.

Ognisko włóczęgów.

Głos ma Stary Mamut z Inowrocławia, członek gromady Czarnych Kruków; właśnie opowiadania swojego o tych Krukach z nr. 10 dokończy. A więc powiada:

Jakim jest nasz stosunek do drużyn miejscowych?

Otóż bardzo serdeczny i zażyły, ponieważ w gromadzie naszej są członkowie prawie ze wszystkich drużyn miejscowych. Prócz tego informujemy się u drużyn o pracy i stanie jakoteż uczęszczamy tak na zbiórki drużyn jak i pogadanki poszczególnych zastępów. W ostatnim czasie gromada nawet musiała dać do dyspozycji Kom. Hufca kilku kruków, którzy pracują na stanowiskach kierowniczych w drużynach.

Co do administracji w naszej gromadzie, zaznaczyć muszę, że jest ona bardzo ubogą, z czem nam jednakowoż bardzo „do twarzy". Na administrację naszą składają się: księga główna, książeczka kasowa, zeszyty korespondencyjne i kronika, czyli możemy całą zapakować do plecaka i pójść z nią na wycieczkę, co już nieraz czyniliśmy, wychodząc na kilka dni z miasta. — W księdze głównej zapisujemy nasze „krucze rady", a w kronice . . . nasz cały nieurzędowy żywot.

Kronika ta bogato ilustrowana mieści w sobie bardzo wiele rzeczy: ewidencję „Kruków" spis krzyży i książeczek służbowych, historję miejscowego harcerstwa, miesięczne wiadomości z życia przyrody, co można zwiedzać na Kujawach (to z krajoznawstwa) opisy wycieczek, wrażenia osobiste z życia gromady i t. p., czyli kronika — to pisane przez wszystkich „w lekkiej formie" dzieje naszej gromady. Wogóle kronika jest u nas bardzo poważana (wiedzcie, że nazywamy ją w naszej gromadzie „świętością"), bo w początkach ona najwięcej łączyła naszą siódemkę.

Najmniej może będę mógł pisać o tem, co robimy po za gromadą, bo po za zajęciem zawodowem jesteśmy stale u siebie i tylko gromadnie żyjemy.

W lecie wychodziliśmy wieczorami do parku lub po za miasto, zimą schodzimy się w „kruczem gnieździe", gdzie każdego wieczora o każdej godzinie możesz kilku spotkać. Wszak tam są szachy, warcaby, mandoliny, skrzypce a nawet gramofon! my zaś lubimy wesoło żyć!

Miałem jeszcze wspomnieć o programie pracy na rok przyszły, lecz z tego powodu, że utworzyło się u nas „Koło Starszych Harcerzy", musimy się wpierw z nimi „pokumać" i nasz program do ich programu w niektórych punktach dostosować

Hej, inne gromady włóczęgów, powiedzcież nam, jak wy pracujecie?

„Stary Mamut z Czarnych Kruków".

Zew Starego Mamuta jest wołaniem na puszczy — nikt się nań nie odezwał, „cicho wszędzie, głucho wszędzie".

Czemuż tak jest?

Na pytanie odpowiadacie pytaniem, na które Wy wyjaśnienie dać musicie, bo przecież o Was mowa:

Może włóczęgów prawdziwych nie mamy?
Może oni nic do powiedzenia nie mają?
A możeby i powiedzieli — tylko nie potrafią?

Pomyślcie nad tem dobrze; kto zaś chce niech posłucha Chudego Lisa z Brodów.

„Noc była ciemna.

Siedzieliśmy we dwójkę przy małem, trzeszczącem ognisku, rozłożonem pomiędzy murami na „Bonie". Żółte światełko ognia padało na mury, oświetlając je miejscami i tworzyło groźne cienie i fantastyczne postacie.

U stóp naszych leżał ściśniony górami Krzemieniec. Niby gwiazdki na niebie świeciły okienka domów. Cicho było wszędzie. Cisza panowała koło miasta i w mieście. Najwięcej ciszy było chyba na „Bonie".

Siedzieliśmy otuleni kocami i zapatrzeni w nasze ognisko. Nagle naprzeciw nas, po drugiej stronie góry, zajaśniało.

To oświetlono Liceum. Gdzie przed chwilą była jeszcze cisza, teraz wrzało życie. Studenci powrócili z przedstawienia, które dawała Reduta.

W tą ciemną noc odbyło się na „Bonie" jej przedstawienie.

Zegar na wieży kościoła szkolnego wydzwonił jedenastą.

Siedzieliśmy wciąż przy ognisku i nie mogąc się od niego oderwać liczyliśmy uderzenia zegara.

Przed latami co tutaj było?

Zamek warowny, który z jednej strony za fosę miał łożysko Ikwy płynącej u jego stóp. Niejedna potęga załamała się o te mury stojące dziś poszarpane, spróchniałe i opuszczone porosłe trawą i krzakami.

A potem? . . . potem, kiedy warownia straciła swe rycerskie postacie, kiedy Państwu groziła utrata niepodległości, Krzemieniec był jednym z tych, którzy nauką i oświatą chcieli podnieść rodaków i kraj ratować.

Pozostało Liceum tak świetnie na kartach historji zapisane.

Był Czacki duszą i twórcą Jego.

Uczył tutaj Feliński, Korzeniowski, wyrósł Słowacki. . . .

Tutaj rósł i napewno tak jak my marzył nieraz pośród ruin zamku, słuchając śpiewu słowika w jasne noce majowe. O miejscu tem niejednokrotnie też myślał on, będąc zagranicą. Pisał: „Spać będę może kiedyś cicho na cmentarzu Krzemienieckim, pod cieniem tej czeremeszki, która ocienia grób Babuni. O, gdyby tak było!"

Tak pisał w swych długich listach do Matki.

Na wzgórzach krzemienieckich potężniała jego fantazja.

I cóż teraz po nim tutaj pozostało?

Nawet dom, w którym się urodził, zburzono a w murach jego stoi teraz na utłoczonej ziemi stacja meteorologiczna Liceum.

Czy na to zasłużył? Czy nie kochał tych miejsc? Czy wreszcie Krzemieniec nie powinien być dumny z tego, że wydał z siebie wieszcza? Żeby choć pomnik?

Ogień strzelił w górę i oświetlił szerszy pas ziemi. W świetle jego widać było szeregi drzew i krzyże.

To cmentarz, na którym pragnął spocząć Słowacki.

Ostatnie to były błyski ognia, zgasł on wkrótce, nie podsycany przez nas.

Raz . . . dwa . . . trzy . . . biła dwunasta . . Godzina duchów . . . Może i Tyś przyszedł teraz na ten cmentarz lub na „Bonę"?

— Nusiek, czasby spać, szepnął Franz.

— Czas, jutro Wisznowiec — odszepnąłem cicho, nie chcąc przerywać ciszy.

I ani spostrzegliśmy się, kiedy owinąwszy się w koce usnęliśmy przy popiołach."

archiwum

Samolotem do bieguna.

Z pamiętnika Amundsena.

Siedem miesięcy temu znany podróżnik, uczestnik kilku wypraw podbiegunowych, Norweg Roald Amundsen dokonał bohaterskiego czynu, organizując wyprawę samolotami celem zbadania nieznanych dotąd i niedostępnych niemal terenów, leżących na północ od Europy i ewentualnego dotarcia do samego bieguna.

W przekonaniu, że naszych czytelników zainteresują żywo wrażenia i przygody, przeżyte w czasie owego lotu, podajemy niżej wyjątki z dziennika, jaki Amundsen własnoręcznie prowadził. Opisy przygotowań, które od całego szeregu miesięcy toczyły się na Spitzbergu — wyspie, położonej na północ od Norwegji — a zarówno i wiele szczegółów podróży opuszczamy z braku miejsca.

Odlot.

21 maja. Gdy, obudzony, wyglądam przez okno, przedewszystkiem bez pomocy różnych meteorologów zdaję sobie sprawę z tego, że godzina odlotu wybiła. Promieniste słońce lśni się na niebie, wolnem od najlżejszej chmurki — jest prawdziwy wiosenny poranek. Lekki zachodni wiaterek dmie nad fjordem.

Krótko mówiąc — pogoda wymarzona.

Wyjazd ma nastąpić o 16, kiedy położenie słońca na firmamencie najbardziej sprzyja funkcjonowaniu słonecznych kompasów.

Wokoło samolotów utworzyły się już ścieżki; piloci, obserwatorzy, mechanicy podchodzą, wlokąc paki, włażą do aparatów i ukazują się stamtąd z próżnemi rękoma. Po każdej takiej wizycie samoloty przybierają na wadze; gdy wszystko jest wreszcie załadowane, wynosi ona 3 000 kilo — o 800 więcej, niż przewidywali konstruktorzy.

Obawiając się ewentualnego pieszego powrotu przez lodowe pustynie, zabieramy żywności na 30 dni i sprzęty obozowe, niezbędne na samotności. Dzienna porcja wynosi kilo na osobę — oto już blisko centnar na każdy aparat.

Każdy samolot jest zaopatrzony w namiot, worki do spania, sanie, przenośne czółno, trzy pary nart, itd. Mimo, że wszystko jest zbudowane z najlżejszych materjałów, bez żadnej litości dla wymagań komfortu — jednak razem stanowi spory balast.

Byliśmy w samej rzeczy bardzo oszczędni; wystarczy powiedzieć, że ładunek „osobisty" nie mógł przekraczać 2 kilo na osobę!

Śniadanie spożywamy, jak zwykle, w kasynie. Panuje zupełny spokój — nikt się nie unosi i nie zdradza rozdrażnienia. Rzekłbyś, to jest zwykłe sobie śniadanie, gdyby nie przerywające je przemówienie gospodarza, który życzy nam powodzenia.

Chałupa gości zgromadzonych po raz ostatni, aby powrócić znów do swej dawnej roli warsztatu stolarskiego.

Godzina 16. Zapuszcza się motory, aby je rozgrzać; jednocześnie uruchamia się słoneczne kompasy.

Członkowie wyprawy wdziewają podróżne stroje i zajmują miejsca w aparatach. Pakuję się jako obserwator do N 25[1]); pilotem moim jest porucznik marynarki Larsen. Feucht[2]) towarzyszy nam w charakterze mechanika.

Załoga N 24 składa się również z trzech osób: porucznika Dietrichsena, obserwatora Ellsworth'a, i mechanika Omdala. Wydaję ostatnie rozporządzenia, dotyczące miejsc, gdzie na wypadek powrotu piechotą ku północnej granicy Spitzbergu mają kursować parowce.[3])

Godzina 17.10. Motory są rozgrzane. Ostatnie uściski dłoni — i oto N 25 już sunie „pełną parą"; aparat drga, niby porywany zniecierpliwieniem. Riiser-Larsen próbuje ścinać drogę w kierunku ujścia zatoki, wyzyskując równocześnie wiatr.

Zostało umówione, że samoloty będą leciały zgodnie i każdy ruch przedniego będzie powtarzany dokładnie przez następny.

Ślizgamy się lekko po równi pochyłej, zbudowanej z lodu i śniegu, aby uzyskać miejsce do odlotu i wreszcie osiągamy wybrzeże morza; ktoś krzyczy za mną: „szczęść Boże — do jutra!"

Z szybkością 1500 obrotów na minutę kierujemy się na środek zatoki, skąd mamy wzbić się w górę. Nagle przed nami od się załamuje i w tem miejscu podnoszą się ogromne bal-

[1]) Aparaty miały numery 24 i 25.
[2]) Jeden z mechaników we fabryce, która dostarczyła samolotów.
[3]) Expedycji towarzyszyły dwa okręty, specjalnie do warunków w północnych morzach panujących, przystosowane: „Fram" i „Holby".

wany; nie tracąc przytomności Riiser-Larsen kieruje aparat na wschód, zwiększając jeszcze szybkość.

Chwila niepokoju. Czy zdołamy się wznieść, czy też będziemy zmuszeni zatrzymać się?

Patrzę na pilota: jest spokojny, jakby właśnie zajadał smaczne śniadanie w własnym gabinecie, w miarę jednak, jak zbliżamy się do lodowca, twarz jego nabiera wyrazu szczególnej powagi.

Tempo nasze staje się zawrotne. Nagle mistrzowski ruch — i lecimy!

Lekki okrzyk zdradza ulgę, jakiej doznaliśmy — za chwilę dopiero wybuchamy radosnemi wiwatami. Twarz pilota nabiera znów pierwotnego wyrazu — niewzruszonego spokoju — i nigdy go już nie straci.

Oglądamy się za Nr 24 i początkowo nie możemy spostrzec; może spotkał go jaki przypadek? może ciężar zbyt wielki nie pozwolił mu wzbić się w górę?

Ale nie! zdaleka zauważam jakieś połyskiwanie — to skrzydła naszego towarzysza odbijają promienie słońca; wszystko i tam w porządku — i jego pilot dokonał wspaniałego czynu.

Powietrzem do bieguna.

Zawracamy zatem i rozpoczynamy we dwójkę nasz lot — w niewiadome.

Myśl moja zwraca się w tej chwili do mych współpracowników — tyle im zawdzięczam!

Przelatujemy wzdłuż północno-zachodniego wybrzeża Spitzbergu ponad oceanem, wolnym od lodów. Po godzinie mijamy wyspę Amsterdam.

Krajobraz nagle się zmienia.

Przed nami nieprzebity czarny mur mgły, strasznego gościa strefy arktycznej. Jest ona lepka i gęsta jak kleik owsiany.

Wzbijamy się zatem wyżej, za nami Nr 24. Przez jakieś 2 godziny lecimy ponad tą mgłą, musi więc chyba rozciągać się na przestrzeni conajmniej 200 km. Od czasu do czasu otwierają się w niej luki, lecz wkrótce zamykają się z powrotem.

Po godzinie 20 chmury stają się rzadsze, rozjaśniają się — wkońcu jak nożem uciął — znikają zupełnie, ma się wrażenie jakby pękła jakaś gruba zasłona. Przed nami lodowa ławica polarna niepokalanie sina rozciąga się wdłuż całego horyzontu.

Godziny mijają — wciąż biało dokoła, bez żadnej najmniejszej plamki. Ta niezmierzona białość, znieruchomiała na wieki, jest jedną z najstraszliwych zjaw natury. Ileż to katastrof spowodowała! jakie tragedje rozgrywały się tutaj! kilku jedynie olbrzymów zdołało ją zwyciężyć: Nansen i Johansen, książe Abruzów, Peary. Lecz za tych kilka zwycięstw ileż klęsk mieści. Ileż nieulękłych odkrywców, którzy z wiarą w tryumf wyruszyli, spoczywa pod tym śmiertelnym całunem! Ileż to okrętów wspaniałych rozbiło się i zniszczało w straszliwym ścisku tych lodów! a żaden ślad ani nawet najdrobniejszy z nich nie pozostał.

Wszystkie ofiary pochłonęła ta bezlitosna, okrutna biel.

Dziwnie wstrząsający jest widok tej lawicy. Nigdzie miejsca na wylądowanie — „pach"[1]) podbiegunowy tworzy całe pola, ani kawałeczka gładkiej powierzchni: Gdzieniegdzie drobniutkie strumyki się tworzą i znikają znów pod lodem.

Zimno nam nie dolega. Na tej wysokości panuje w czasie lata średnia temperatura — 13°.

Po dwóch godzinach lotu od wyspy Amsterdam zabieram się do mierzenia szybkości i kierunku. Cóżby się jednak w międzyczasie — póki się nad morzami obłoków leciało, stać mogło? Położenie słońca wykazuje bowiem wybitne odchylenie ku Zachodowi. Tak też jest w istocie.

Nie widziałem nigdy tak bezwzględnej pustki, tak zupełnego braku życia. Spodziewałem się, że zobaczę od czasu do czasu niedźwiedzia. Gdzie tam! Ani niedźwiedzia, ani foki, ani wreszcie ptaka — żadnego żywego stworzenia!

22-go maja o godzinie 1.15 po raz pierwszy spostrzegamy wodę — wielkie rozgałęzione we wszystkie strony jezioro — pierwszą od początku podróży nadającą się do lądowania powierzchnię. Według naszych obliczeń, znajdujemy się pod 88° szerokości geograf.; o długości nie mamy najmniejszego pojęcia. Zostaliśmy zniesieni ku zachodowi, to pewne, lecz jak dalece?

[1]) Potrzaskane kawały lodu zbite w jedną masę.

(C. d. n.).

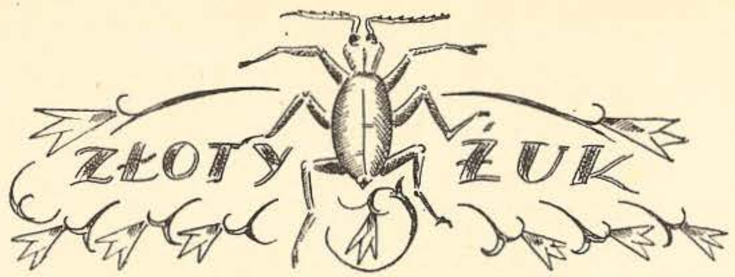

Edgar Allan Poe.

4]

— Co, — żuka, massa? Wolę ja nie mieć z nim nijakiej sprawy! Niech go massa sam weźmie.

Na te słowa Legrand podniósł się z miejsca poważnym i wyniosłym ruchem i wyjął chrząszcza ze szklanego naczynia, gdzie go trzymał w zamknięciu. Był to piękny scaraboeus, podówczas nieznany jeszcze przyrodnikom i posiadający dlatego istotną naukową wartość. Miał dwie czerne centki po jednej stronie odwłoku, a trzecią, podłużną, po drugiej. Łuski jego były nadzwyczaj twarde i lśniące i miały wygląd polerowanego złota. Ciężar owada był nader znaczny, biorąc przeto wszystko pod uwagę, trudno było przyganiać Jupiterowi za jego poglądy; natomiast za cenę życia żadną miarą nie zdołałbym był podówczas pojąć, jak Legrand mógł godzić się na nie.

— Posłałem po ciebie — odezwał się pompatycznym tonem, gdy ukończyłem badanie chrząszcza — posłałem po ciebie, bo mi będzie potrzebna twa rada i pomoc, kiedy pocznie się iścić zrządzenie Przeznaczenia i żuka...

— Mój drogi — przerwałem — tyś zapewne niezdrów i powinienbyś mieć się nieco na baczności. Połóż się do łóżka, a ja zostanę przy tobie, aż to przejdzie. Masz gorączkę i...

— Zbadajże mi tętno — odpowiedział.

Wziąłem go za rękę i po prawdzie mówiąc, nie wyczułem najlżejszych oznak gorączki.

— Ale ty możesz być chory i nie mieć gorączki. Pozwól mi tym razem zająć się sobą. Po pierwsze, połóż się do łóżka. Następnie...

— Mylisz się — wtrącił. — Czuję się o wiele lepiej, niżli możnaby wnioskować z mojego podniecenia. Jeśli naprawdę pragniesz mojego dobra, ulżyj mi w niem!

— A jakże tego dokonać?

— Bardzo łatwo. Wybieram się wraz z Jupiterem na wyprawę śród wzgórz, na stałym lądzie i potrzebuję do pomocy kogoś, na kim możnaby polegać. Jesteś jedynym człowiekiem, któremu mogę zaufać. Podniecenie, które u mnie dostrzegasz, ustąpi bez względu na to, czy spotka mnie zawód, czy tryumf.

Dopomogę ci chętnie we wszystkiem — odrzekłem — ale czy, twem zdaniem, ten piekielny owad pozostaje w jakimś związku z twą wyprawą do wzgórz?

— Oczywiście.

— W takim razie nie mogę wziąć udziału w tem niedorzecznem przedsięwzięciu.

— Przykro mi, — bardzo mi przykro! Zatem będziemy musieli próbować sami.

— Co... sami? — Czyś ty istotnie oszalał? — Zaczekajno! — Na jak długo się wybierasz?

— Prawdopodobnie na całą noc. Wyruszamy natychmiast, a o świcie będziemy z powrotem.

— A kiedy ta twoja chimera minie i kiedy ta zabawka z chrząszczem (mój ty, Boże!) skończy się dla ciebie pomyślnie, czy mi zaręczysz słowem honoru, że powrócisz do domu i będziesz słuchał ślepo mych rad, jakgdybym był twym lekarzem?

— Zgoda, przyrzekam; a teraz dalej w drogę, bo nie mamy czasu do stracenia!

Z ciężkiem sercem podążyłem za mym przyjacielem. Wyruszyliśmy po czwartej — Legrand, Jupiter, ja i pies. Jupiter zabrał kosę i łopaty — i uparł się, że to wszystko sam poniesie, więcej, jak mi się zdawało, z obawy, by które z tych narzędzi nie dostało się w ręce jego pana, niżli z nadmiernej gorliwości i pilności. Był poprostu w psiem usposobieniu i poza „ten djabelski chrząszcz"! nie wyrzekł przez całą drogę ani słowa. Mnie dostały się przy podziale dwie ślepe latarki, natomiast Legrand zadowolnił się samym tylko żukiem, którego przytwierdził na końcu sznurka i potrząsał nim, idąc, z miną spiskowca. Patrząc na ten oczywisty dowód zboczenia umysłowego u mojego przyjaciela, zaledwie zdołałem powściągnąć łzy, co cisnęły się mi do oczu. Zdawało się mi jednakże, iż postąpię właściwiej, gdy będę pobłażał jego urojeniom, przynajmniej na razie lub do czasu, gdy będzie można zastosować energiczniejsze środki zaradcze, nie narażając się na niepowodzenie. Tymczasem czyniłem nadaremnie usiłowania, by dowiedzieć się odeń czegoś dokładniejszego o celu tej naszej wyprawy. Udało się mu wymódz na mnie, że będę mu towarzyszył, ale widocznie nie chciał wdawać się w rozmowę o jakichkolwiek szczegółach podrzędniejszego znaczenia i na wszystkie me zapytania nie raczył dawać innej odpowiedzi prócz: „zobaczymy". Przeprowadziliśmy się czółnem u przylądka wyspy na wybrzeże stałego lądu i pnąc się wciąż wgórę w kierunku północno-zachodnim, szliśmy przez okolicę nadzwyczaj dziką i pustynną, gdzie zgoła nie było śladów ludzkiej stopy. Legrand prowadził nas nadzwyczaj pewnie, zatrzymując się tylko od czasu do czasu, by rzucić okiem na jakieś widocznie znane mu znaki, które zapewne przy innej sposobności zakarbował sobie w pamięci.

Szliśmy tak ze dwie godziny i słońce miało się już ku zachodowi, kiedy otoczyło nas pustkowie, nieskończenie posępniejsze od okolic, które pozostały za nami.

archiwum

Bylto jakby płaskowyż, położony u szczytu niedostępnego niemal wiszaru, zalesiony gęsto od dołu do samej góry i usiany ogromnemi złomami, co zdawały się leżeć luźnie na ziemi i niejednokrotnie nie staczały się wdół jedynie dlatego, że stały oparte o drzewa. Głębokie jary, przebiegające w różnych kierunkach, przymnażały jeszcze krajobrazowi wyrazu uroczystej głuszy.

Wyżynę, na którą wspięliśmy się wkońcu, porastały tak gęsto chaszcze jerżyny, iż wnet przekonaliśmy się, że nie utorujemy sobie drogi bez kosy. Jupiter na rozkaz swego pana jął trzebić ścieżkę do stóp ogromnego tulipanowca, co wznosił się na płaszczyźnie w otoczeniu ośmiu czy dziesięciu dębów i przewyższał je, podobnie jak wszystkie inne drzewa, które kiedykolwiek zdarzyło się mi widzieć, krasą ulistwienia i kształtu, rozłożystością konarów oraz okazałością wyglądu. Gdy stanęliśmy pod drzewem, Legrand zwrócił się do Jupitera i zapytał go, czy potrafi wejść na nie. Stary murzyn zawahał się nieco na to pytanie i narazie nic nie odpowiedział. Po chwili zbliżył się do potężnego pnia, obszedł go zwolna wokoło i obejrzał bardzo dokładnie. Ukończywszy swe badania rzekł krótko:

— Jużcić, *massa* niema takiego drzewa, na które Jup nie wlezie.

— Zatem właź co rychlej, bo wnet się ściemni i nie będziesz widział, co robimy.

— Jak wysoko trzeba wleźć, *massa*? — zagadnął Jupiter.

— Wespnij się najpierw na pień, a potem ci powiem, którędy masz wspinać się dalej. — Zaczekajno jeszcze! — Weź ze sobą tego chrząszcza!

— Chrząszcza, *massa Will*? — złotego chrząszcza? — zawołał murzyn, cofając się lękliwie. — Pocóż mam zabierać tego chrząszcza na drzewo? Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli go wezmę!

— Co Jup, ty, taki wielki, silny murzyn, boisz się wziąć ze sobą nieszkodliwego, martwego chrząszczyka, którego możesz ponadto nieść jeszcze na tym sznurku? — No, jeśli ty go tak lub owak nie weźmiesz, to doprowadzisz mnie do ostateczności i rozwalę ci łeb tą łopatą!

— Co też *masa* gada; — odezwał się Jup, widocznie zawstydzony i skłonny do uległości. — *Massa* musi zawsze gderać na starego murzyna! To był tylko żart! Jabym bał się chrząszcza? Ja kpię z niego! — Z temi słowy ujął ostrożnie sam koniec sznurka i trzymając owada możliwie daleko od siebie, począł wspinać się na drzewo.

Tulipanowiec czyli *Liriodendron tulipiferum* jest najwspanialszem drzewem borów amerykańskich. Zamłodu pień jego bywa nadzwyczaj gładki, a boczne konary poczynają się nieraz dopiero na znacznej wysokości.

(C. d. n.)

HUMOR!

Pieczeń po harcersku!

Logogryf.

Należy podać wyraz, jaki tworzą czytane z góry na dół początkowe i końcowe litery wyrazów.

Bur, a, le, wiec, pal, ra, be, tow, cha, ka, do, he, ród, só, za, el, now, ja, nem, o, ski, jasz, sa, ro, kół, lo, osm, to, bak, ra, lje, ta, ko, kie.

1. Bogini młodości. 2. Pierwiastek chemiczny. 3. Inaczej myśliwy. 4. Kamień drogocenny. 5. Przyrząd sportowy. 6. Krzak leśny. 7. Prorok starego testamentu. 8. Ptak drapieżny. 9. Miasto w Hiszpanji. 10. Miasto nad Wołgą. 11. Poeta polski XVI wieku. 12. Kwiaty. 13. Bohater z Pana Tadeusza. 14. Rodzaj okrycia.

Coś niby labirynt.

Zadanie polega na tem, aby posuwając się od kratki, oznaczonej krzyżykiem, przejść przez wszystkie inne, przecinając każdą tylko raz jeden i wyjść przez kratkę oznaczoną wskazówką.

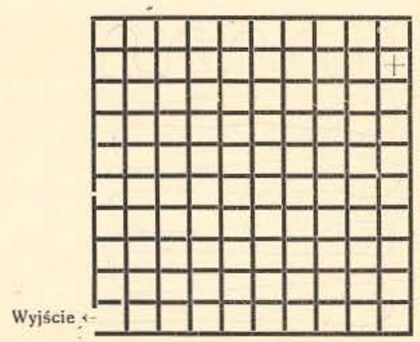

! Przedpłata na rok 1926 winna być uregulowana przed 10 styczniem, kto w tym czasie nie wpłaci za I kwartał, nie dostanie styczniowego Numeru !

Komisja Dostaw Harcerskich

Poznań, Wolnica nr. 1, Konto P.K.O. 203400

Najtańsze i najsolidniejsze źródło zakupu

POLECA: Kurtki zimowe dla instruktorów i młodzieży w cenie zł. 27 do 50. Bryczesy, mundurki, plecaki, paski, toporki, saperki, liny, laski, sznurki, krawaty i inne przybory harcerskie :-: :-: :-: :-: :-:

Nie przepłacaj! Żądaj cennika! Porównaj ceny a przekonasz się!

Albumy „Jamboree 1924“ Cena zł. 28

Lady Baden-Powell, Harcerskie Wychowanie dziewcząt	zł 1,20
R. Baden-Powell, Przygody szpiega	„ 3,20
J. Braun, Szopka harcerska	„ 2,40
H. Glass, Książeczka harcerza	„ 4,25
Z. Kąkolewski, Opowiadania harcerskie	„ 0,40
K. Lutosławski, Letniska Młodzieży (Komplet zeszyt I—V)	„ 1,50
„ „ „Czuj Duch“	„ 1,—
M. Lissowski, Harcerstwo Poznańskie	„ 2,—
Nekrasz, Pionierka harcerska	„ 2,50
Piasecki-Schreiber, Harce Młodzieży Polskiej	„ 3,75
S. Sedlaczek, Szkoła harcerza	„ 2,90
Sopoćko-Grzymałowski, Na tropach ludzi i zwierząt	„ 2,70
H. Śniegocki, Piosnki Harcerskie	„ 0,30
E. Żmijewska, Skauci (powieść)	„ 1,10
Statut Z. H. P.	„ 0,10

Najnowsza książeczka zastępowego

Wszystkie potrzebne informacje! Praktyczna, wygodna, ładna! Trwała płócienna oprawa!

Tylko zł 1,80! z 2 bloczkami raportowemi Tylko zł 1,80!

Redaktor: Jan Łęcki. Redakcja i Administracja: Poznań, Zamek.

PRZEDPŁATA: rocznie 6,— zł, półrocznie 3,— zł. kwartalnie 1,50 zł. || *OGŁOSZENIA: strona 100,— zł, pół str. 60,— zł, ćwierć str. 35,— zł, ósemka str. 20,— zł, szesnastka 15,— zł.*

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności nr. 203 662.

Wydawca: Oddział Wielkopolski Zw. Harc. Polskiego. Czcionkami Drukarni Uniwersytetu Poznańskiego.

archiwum